

ROK V.

KWIECIEŃ — 1905 ROK.

TOM IV (XLIV).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja w Warszawie: Ulica Mokotowska Nr. 47.

Filia w Petersburgu, ul. Sadowa Nr. 76 m. 5 u p. Witolda Habdank-Wojewódzkiego.

1905

ИЗДАТЕЛЬСТВО

ИЗДАТЕЛЬСТВО

ИЗДАТЕЛЬСТВО

ИЗДАТЕЛЬСТВО

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 апрѣля 1905 года.



ИЗДАТЕЛЬСТВО

ИЗДАТЕЛЬСТВО

ИЗДАТЕЛЬСТВО

Treść tomu IV, kwietniowego 1905 r., ogólnego zbioru XLVI.

1. Chwała Zmartwychwstania Pańskiego	3
2. Żywot Zbawiciela świata, przez Sługę Bożego.	16
3. Bogarodzica naszą Matką, przez ks. Wł. F.	22
4. Dzije ilustrowane klasztoru Jasnogórskiego	26
5. Księga cudów, doznanych za sprawą Najświętszej Pani Częstochowskiej	33
6. Święci Patronowie i Patronki, opowieści religijne, zebrane przez Mikołaja Synoradzkiego	37
7. Dawne nasze klasztory i świątynie	47
8. Drogą Świętych Męczenników wśród pogan (z ilustracyami) .	52
9. Historya ilustrowana Kościoła Świętego Rzymsko-katolickiego w obrazach i życiorysach	79
10. Sławni dostojnicy Kościoła	86
11. Poezja modlitwy, opowieść z przed laty (według opowiadania J. . Kraszewskiego, p. t. „Historya o dziewczynce z pod Ostrej- Brmy”	91
12. Bę tak chce! Obrazy z czasów Wojen Krzyżowych	101
13. Nowiny z Częstochowy: Ofiary	105
14. Nowiny z daleka i z bliska: Rzym. — Galicya. — Z Ameryki. — Spustowanie	107
15. Wród ciszy nocnej, wiersz, przez Br. W. Korotyńskiego . .	113
16. O Redakcyi	114

ILLUSTRACYE:

1.	Alleluja! Alleluja	1
2.	Zmartwychwstał Pan!	9
3.	Stefan Wierzbowski, założyciel Góry-Kalwaryi.	45
4.	Kościół Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny (po-Bernardyński), obecnie parafialny w Górze-Kalwaryi.	50
5.	Japonia. Dawny lekarz japoński	53
6.	Japonia. Dawny nauczyciel japoński	57
7.	Kochinchina. Wieś chrześcijańska Ba-Giong	61
8.	Kochinchina. Ucieczka chrześcijan z Ba-Giong przed wojskiem prześladowców	65
9.	Kochinchina. Pojmani chrześcijanie giną śmiercią męczeńską.	67
10.	Kochinchina. Chrześcijanie grzebią uroczyście kości swoich męczenników	69
11.	Kochinchina. Kościół w Baria, wykończony i poświęcony w r. 1879	71
12.	Kochinchina. Śmierć misyonarza ks. Barreau.	73
13.	Kochinchina. Śmierć misyonarza księdza Abonnel	75





Alleluja! Alleluja!

Chwała Zmartwychwstania Pańskiego.

Radością rozbrzmiewa świat, w górę wznoszą się serca, przygnębione jarzmem trosk ziemskich, gdy dzwony kościołów ogłaszają świętą pamiątkę Zmartwychwstania Pańskiego. „Wesoły nam dzień dziś nastał, którego z nas każdy żądał...” — powtarzamy z bogomyślnem uniesieniem, a dusza nasza rozplywa się w uczuciach wdzięczności i miłości dla Onego Króla Niebieskiego, który „k’nam zawitał, jako śliczny kwiat zakwitał, piekielne mocy zwojował, nieprzyjacioly podeptał.”

Rozplywa się w uczuciach najszlachetniejszych stroskana cierniami żywota doczesnego dusza nasza, ulatuje na skrzydłach wiary ku Niebiosom, czuje, zda się, przedsmak rozkoszy zbawienia, które dla niej ofiarą Męki i Śmierci Krzyżowej Syn Boga zgotował. I zapomina o gorczy prób ziemskich, zapomina o zawodach, rozczarowaniach, cierpieniach, jakimi ją Stwórca na żywot wieczny hartuje, doznaje niewypowiedzianej błogości, a korząc się przed Ojcem Niebieskim, woła z roztkliwieniem:

— Alleluja! Alleluja!

Radosnem uczuciem ogarnięci i przejęci, otwieramy objęcia braterskie nawet dla nieprzyjaciół, składamy sobie wzajem życzenia. Pamiątka Chwały Zbawiciela odradza w nas pokrewność z Bogiem, stawia przed oczy nasze widok dziedzictwa wiecznej szczęśliwości, którego osiągnięcie od nas samych zależy — od wiary naszej, od gorliwości w spełnianiu obowiązków względem Boga i bliźniego.

Pilnie przechowując zwyczaj w skutkach dobroczynny i zbawienny, „Dzwonek Częstochowski“ staje przed Przyjaciołmi swoimi w rocznicę pamiątki Zmartwychwstania z braterskimi życzeniami wszelkiej pomysłności. Wytrwajmy w powołaniu swoim i obowiązkach swoich — bądźmy zawsze i wszędzie wiernymi wyznawcami Boga, dobrymi syna-

mi Kościoła Jego, bądźmy oraz dla siebie wzajem braćmi, a dojdziemy pomyślnie kresu przeznaczenia naszego, którem jest wiekuiste uczestnictwo w Chwale Bożej.

Oto czego Wam życzymy, Drodzy Przyjaciele nasi, a dla umocnienia Was w uczuciach radosnych, dla tem skuteczniejszego podniesienia serc Waszych, dajemy Wam niżej opowieść o Chwale Zmartwychwstania Pańskiego, wysnutą ze świętych widzeń Anny Katarzyny Emmerich, Siostry zakonu Ś-go Augustyna, klasztoru Agnetenberg w Dülmen. Widzenia te zarówno Święte Kongregacye Stolicy Apostolskiej, jak i znakomici pisarze kościelni, jednomyślnie uznają za wielce skuteczny bodziec do rozniecania w duszach uczuć zbożnych, budujących, gdyż są one pełne prostoty i szczerości, pełne namaszczenia, wiary i Ducha Bożego.

Po ukrzyżowaniu Jezusa, w nocy z piątku na sobotę, Kaifasz naradzał się ze starszyzną żydowską, a celem tej narady było wynalezienie środków, któreby zapobiegły zapowiedzianemu Ukrzyżowanego zmartwychwstaniu. Uradzili, żeby najprzód uwięzić Józefa z Arymatei, gorliwego wyznawcę Jezusa, a następnie żądać od Piłata przystawienia straży u grobu Jezusa. Jakoż niezwłocznie wtrącili Józefa z Arymatei do więzienia, gdzie go miano głodem zamorzyć, poczem zwrócili się do Piłata ze słowy:

— Wspomnieliśmy, iż on zwodziciel, żyjąc jeszcze, powiedział, jako po trzech dniach zmartwychwstanie; przeto rozkaż strzedz grobu aż do dnia trzeciego, by snadź nie przyszli uczniowie Jego i nie ukradli Go. Powiedzieliby wtedy, iż powstał z martwych, a to byłby błąd gorszy niż pierwszy.

Piłat odparł krótko:

— Macie straż. Idźcie, strzeżcie, jak umiecie!

Straż ową prowadził setnik rzymski Kasyusz, ten sam, co włóczył się przebił bok Jezusa, chcąc się przekonać o Jego śmierci. Wiadomo, że dostał łaski nawrócenia i znany był potem, jako Święty Longin. Piłat, wyznaczając go na strażnika grobu Jezusa, polecił mu pilnie uważać, cokolwiek się tam zdarzy, aby następnie potrafił zdać dokładną relację.

Dażyła tedy do grobu Jezusa starszyzna żydowska, w liczbie 12 mężów i 5 czy 6 żołnierzy, z Kasyuszem na czele. Dla oświecenia drogi i wnętrza grobu, nieśli kilka latarni, osadzonych na żerdziach. Przybywszy na miejsce, upewnili się najprzód, czy istotnie ciało Jezusa znajduje się w grobie, potem przeciągnęli sznur od jednego do drugiego

końca drzwi grobowych, obwodząc nim oraz kamień, zapierający wejście, a przymocowawszy wszystko jak najszczelniej, opieczętowali pieczęcią półkolistą. Po ubezpieczeniu się w taki sposób, starszyzna żydowska wróciła do miasta, a straż rozstawiła się przy drzwiach zewnętrznych groty.

Kasyusz usiadł w miejscu, zwróconem do stóp Jezusa. Otrzymał on wtedy wiele łask Ducha Ś-go, a już przeistoczony w innego człowieka, rozpływał się w skrusze, dziękczynieniach i uwielbieniu.

W sobotę rano, w wieczerniku, zgromadziło się około 20 wyznawców Jezusa, zamierzając spędzić czas na modlitwie, rozmyślaniu i czytaniu Pisma Ś-go. Mieli na sobie długie, białe szaty, pasami objęte w biodrach.

W tym samym domu zamieszkiwała Marya, a obok niej inne niewiasty święte. Owóż kiedy niewiasty wróciły w piątek od grobu, jedna z nich zapaliła lampę, wiszącą u pułapu, następnie wszystkie zebrały się dokoła Maryi, poczęły się modlić z wielkiem skupieniem i żałością. Niebawem nadeszli: Łazarz, Marta, Maronia, Dyna i Mara. Łazarz udał się do mężczyzn, znajdujących się w wieczerniku, Marya zaś opowiadała niewiastom przybyłym o śmierci i pogrzebie Jezusa. W czas niejaki niewiasty, które musiały wrócić do domów, pożegnały Maryę i odeszły, inne udały się do celek swoich na spoczynek.

Krótko trwał ten spoczynek. O północy znów się zgromadziły przy Maryi na modlitwę. Po modlitwie zastukał do izby Jan Marya i Jej towarzyszki, odziewszy się płaszczami, udały się z nim i kilkoma jeszcze uczniami Jezusa do świątyni jerozolimskiej. Była może godzina trzecia, wtedy właśnie starszyzna żydowska grób Jezusa obwarowywała pieczęciami.

Żydzi pobożni mieli zwyczaj odwiedzać świątynię przed świtem, zwłaszcza po spożyciu baranka paschalnego. Tym razem jednak świątynia była pustą. Dnia poprzedniego, w chwili śmierci Jezusa, działały się w niej cuda, które faryzeusze poczytywali za dzieła szatańskie, została przeto, w ich mniemaniu, skażoną i dlatego świeciła pustką. Stała jednak otworem, płonęły w niej lampy, nadto czuwało u wniścia kilku dozorców, między nimi zaś synowie Symeona, a siostrzeńcy Józefa z Arymatei.

Ci ostatni przywitali Maryę i Jej towarzyszki uprzejmie, od nich ze smutkiem się dowiedzieli o uwięzieniu wuja. Oprowadzali następnie Maryę i niewiasty po świątyni, opowiadając, co się w niej działo w chwili zgonu Jezusa. Ślady zresztą gniewu Bożego widniały na każdym kroku. W miejscu, gdzie przysionek z przybytkiem świętym się łączył, ściana tak się z obu stron rozstała, że można było przejść przez ten otwór. Rozdarta na poły zasłona miejsca Świętego Świętych zwieszała

się w nieładzie z boków. Wszędzie trzęsienie ziemi wywołało wielkie zniszczenie. Mury były potrząskane, kolumny pochylone, belki groziły zawaleniem.

Marya zwiedziła szczegółowo wszystkie miejsca, które Jezus obecnością Swoją uświęcił, upadłszy na kolana, całowała je, oblewała łzami, wyrażając przytem boleść Swoją rzewnemi i tkliwemi słowy. Towarzyszek, szczerze dzielając Jej boleść, naśladował Ją.

Uczciwszy miejsca święte w ten sposób, wróciła Marya z towarzyszami do wieczernika. Już dniało. Znalazłszy się w części niewieściej domu, poosłaniały głowy welonami, usiadły na popiele, co było znakiem żałoby i zwrócone do ściany, modliły się niemal dzień cały bez przerwy. W części męskiej wieczernika modlili się uczniowie i wyznawcy Jezusa, a pomiędzy nimi Jan, do którego wszyscy zwać się ze czcią i zawstydzieniem. Ze czcią, bo Jezus zaszczytnie go wyróżnił, powierzając mu opiekę nad Maryą; z zawstydzieniem zaś dlatego, bo on tylko był obecny przy śmierci Mistrza.

W tem miejscu w widzeniach Siostry Emmerich, będących odtworzeniem obrazem świadectw ewangelicznych, następuje przerwa, które uzupełnia cudne widzenie, mające za treść zstąpienia Jezusa do piekieł. Oto jak się ta chwila świętobliwej Siostrze przedstawiła:

Gdy Jezus, wołając głosem wielkim, skonął, Dusza Jego Przenajświętsza, w postaci świetlnej, jak błyskawica, zstąpiła w ziemię u stóp krzyża. Towarzyszyło Jej mnóstwo Aniołów, pomiędzy którymi był także Archanioł Gabryel. Miejsce, do którego Zbawiciel zstąpił, dzieliło się na trzy części, stanowiące jakoby trzy oddzielne światy. Pierwsza, jaśniejsza i weselsza, była przeznaczona dla dusz, uwolnionych z czyśćca. Tam pozostawały one, zanim dostały się do Nieba. Otchłań, w której dusze oczekiwały odkupienia, spowita była atmosferą szarą, mglistą, znajdowało się w niej wiele okręgów. Jezus, jaśniejący chwałą i tryumfem, prowadzony przez Aniołów, przeszedł pomiędzy dwoma okręgami, z których lewy mieścił Patriarchów, poprzedników Abrahama, prawy zaś dusze, które żyły od czasu Abrahama aż do Jana Chrzciciela. Owe dusze święte nie poznały Jezusa, gdy pomiędzy nimi przechodził, lecz uczuły radość i wesele, zdało im się, że granice ich schroniska, w którym tak długo do szczęśliwości Bożej tęskniły, rozszerzyły się nagle...

Jezus przesunął się pomiędzy nimi pędem gwałtownego wichru, rozciągając dokoła światło i rosę odkupienia; dotarł do miejsca mgłą okrytego, w którym znajdowali się pierwsi nasi rodzice: Adam i Ewa, przemówił do nich, a oni, z uniesieniem niewypowiedzianej radości, pokłon mu oddali i przyłączyli się do Jego orszaku.

Potem udał się Jezus do okręgu Patryarchów z przed czasów Abrahama. Był to rodzaj czyśćca. Pomiedzy duszami ludzi, snuli się tu i owdzie szatani, niepokojąc i dręcząc nawet niektóre z tych dusz. Prowadziły do tego okręgu jakby drzwi zatarasowane. Aniołowie zapukali do drzwi onych, wołając:

— Otwórzcie wrota!

Drzwi się rozwarły, Jezus w tryumfie wszedł do okręgu. Na Jego widok duchy złe pierzchać poczęły, wrzeszcząc przeraźliwie:

— Co Tobie do nas, Chrystusie? Po co tu przybywasz? Czy i nas także chcesz ukrzyżować?

Aniołowie powiązali szatanów łańcuchami i pędzili ich przed sobą.

Dusze, tu się znajdujące, słabą miały nadzieję oglądania Zbawiciela. Gdy Go poznały, natychmiast chwałę Jego głosić zaczęły.

Stamtąd Jezus udał się na prawo, do właściwych otebłani, a w drodze spotkał duszę Dobrego Łotra, prowadzoną przez Aniołów na łono Abrahama i duszę Złego Łotra, którą szatani do piekła wlekli. Nie zatrzymywał się jednak wcale, dążył wprost do schronienia Abrahama.

Miejsce to leżało wyżej od poprzednio opisanych, wstępowało się tam, jak gdyby z podziemnego do górnego kościoła. Skrępowani łańcuchami czarci nie chcieli tam wchodzić, ale Aniołowie zmusili ich do tego. Znajdowali się tu wszyscy święci Izraelici w tym porządku: po lewej stronie — Patryarchowie, Mojżesz, Sędziowie i Królowie, a po prawej — Prorocy, przodkowie i krewni Jezusa, więc pomiędzy nimi: Joachim, Anna, Józef, Zacharyasz, Jan i Elżbieta.

Szatani wcale do tego miejsca nie mieli przystępu. Jedyńcem cierpieniem dusz, tu przebywających, było pragnienie spełnienia się obietnicy Bożej, czego też się doczekały. Radość niewypowiedziana, szczęście niewysłowione ogarnęły je na widok Zbawiciela. Powitały Go z uniesieniem, składając Mu jednocześnie hołd głęboki. Wiele z nich Jezus wysłał na ziemię, aby przyoblekłszy chwilowo ciała swoje, dały o Nim świadectwo i wtedy to właśnie tylu umarłych ukazało się z grobów swoich w Jeruzolimie. Spełniwszy rozkaz Jezusa, znów porzuciły ciała, przyłączyły się do Jego orszaku, weszły z Nim do głębszej sfery.

Było to jakby miejsce oczyszczalne, przeznaczone dla pobożnych pogan, którzy przeczuwali Prawdę Bożą i pragnęli Jej. Pomiedzy ich duszami również snuły się złe duchy, gdyż za życia hołdowali oni poniekąd bałwochwalstwu. Szatani musieli tu wyznać swoje oszustwo, a dusze złożyły hołd Zbawicielowi z najżywszą radością. Czartów oszukańczych Aniołowie uprowadzili w łańcuchach, jako niewolników.

Wiele jeszcze innych okręgów zwiedził Jezus, wybawiając oczekujące na Niego dusze, wreszcie przybrawszy postać surową, groźną, zbliżył się do środka przepaści — do piekła.

Był to jakby gmach olbrzymi, ciemny, skrzący się blaskiem metalicznym. Przy wnijsciu znajdowały się wielkie, czarne, opatrzone ryglami i zamkami bramy, z po za których odzywały się straszliwe wycia i jęki. Aniołowie wysadzili bramy...

Siostra Emmerich w zachwyceniach swoich widywała Jerozolimę Niebiańską, to jest Niebo, jako miasto, w którym mieszkania Ubłogosławionych przedstawiały jej się jako pałace i ogrody, pełne kwiatów oraz owoców cudnych, odpowiednio do stanu ubłogosławienia każdego Wybrańca Bożego. Podobnie przedstawiło jej się piekło. Nadmienia jednak: Lecz w pobycie Ubłogosławionych wszystko jest zastosowane do nieskończonego ukojenia i wiekuistej harmonii, źródłem i zasadą wszystkiego jest świętość; tymczasem w piekle wszystko zostaje w stosunku z wieczystym gniewem, zwątpieniem, niezgodą i rozpaczą. W Niebie są gmachy radości, uwielbienia, zachwyty, ogrody pełne cudnych, życiodajnych owoców; w piekle zaś są lochy, jaskinie, pieczary, puszcze, bagniska pełne tego wszystkiego, co zdolne obudzić wstręt i przerażenie.

Pomiędzy potępionymi wieczna i straszna rozterka panuje: pomiędzy Błogosławionymi zjednoczenie święte. Wszystkie odcienia błędu i zepsucia prowadzą za sobą do piekła bole, kary i cierpienia w nieskończonych objawach, liczbie i działaniach; każdy potępieniec ma wiecznie przed oczyma tę myśl, że męki, na jakie został skazany, są naturalnym i koniecznym owocem jego zbrodni, wszystko bowiem, co w piekle widzi i słyszy okropnego, wszystko, czego doświadcza, jest tylko szatą zewnętrzną odsłoniętej istoty grzechu, tego węża, pożerającego nieszczęśliwych, którzy go hodowali.

Gdy Aniołowie bramy piekielne skruszyli, powstał straszliwy chaos złorzeczeń, przekleństw, wycia i narzekań. Aniołowie pędzili przed sobą całe tłuszcze szatanów, którzy, wszyscy, co do jednego, uznać musieli Jezusa, pokłonić się Mu, co stanowiło dla nich najsroższą męczarnię. Wielu z nich uwieziono w okręgu, otaczającym równolegle inne okręgi. Pośrodku piekła znajdowała się przepaść, z której unosiły się kłębamii czarne wyziewy. Do przepaści tej został wrzucony w kajdanach Lucyper.

Wszystko to się stało — nadmienia świętobliwa Siostra Emmerich — odpowiednio do wyroków Bożych. Lucyper będzie przez czas jakiś rozpetany, na 50 lub 60 lat przed rokiem dwutysięcznym Chrystusa. Niektórzy czarci mają być wcześniej jeszcze rozpuszczeni, dla ukarania i kuszenia świata.

Widziałam niezliczone mnóstwo dusz odkupionych, unoszących się z czyśćca lub otchłani i podążających za Jezusem do miejsca rozkoszy,



Zmartwychwstał Pan!

znajdującego się poniżej Jerozolimy Niebiańskiej. Dusza Dobrego Łotra przybyła tam również i według obietnicy, ujrzała Odkupiciela swego.

Widziałam później Zbawiciela w wielu miejscach, a mianowicie w morzu. Zdawał się poświęcać i wyzwalać wszystkie stworzenia. Złe duchy wszędzie przed Nim pierzchały i pograżały się w przepaść. Widziałam dalej Pana w rozmaitych miejscach ziemi, więc w grobie Adama pod Golgotą; dusze Adama i Ewy również tam przybyły, mówił z nimi Zbawiciel. W ich towarzystwie zwiedzał podziemne groby wielu Proroków, których dusze połączyły się z Nim przy swoich zwłokach. Poczem oprowadzał Jezus tę rzeszę wybranych, wśród której znajdował się i Dawid, po rozmaitych miejscach, uświęconych jakim ważniejszym zdarzeniem Swego życia, tłumacząc im z niewysłowioną miłością figury Starego Zakonu i ich wypełnienie.

Ukazano mi jeszcze obraz wiekuistego miłosierdzia, jakie Pan nieustannie świadczy biednym duszom. Oto w każdą rocznicę Zmartwychwstania Swego, spogląda, za pośrednictwem Kościoła, wybawczem okiem na czyściec i wyprowadza stamtąd niektóre dusze.

Zstąpienie Jezusa do piekieł nazywa Siostra Emmerich zaszczerpieniem drzewa łaski, które ma sprowadzić dobroczynne skutki zasług Jego na dusze cierpiące. Nieustanne tych dusz uwalnianie to owoc, jaki drzewo rzezone w duchowym ogrodzie Kościoła wydaje. Kościół nasz wojujący ma obowiązek pielęgnować to drzewo, zbierać jego owoce, udzielać ich Kościołowi cierpiącemu, który już nic dla siebie uczynić nie może. To samo dzieje się z innymi zasługami Chrystusa. Należy z Nim pracować, chcąc mieć w nich udział. W pocie czoła pożywać winniśmy chleb powszedni. Wszystko, cokolwiek Jezus uczynił, wieczne wydaje owoce. Lecz obowiązkiem naszym jest uprawiać tę świętą niwę i wcześniej zbierać z niej plony, bo inaczej nie będziemy mogli cieszyć się nimi w wieczności. Kościół jest najdoskonalszym gospodarzem. Jego rok, to ogród pełen wszelkiego rodzaju wiekuistych owoców, z których korzystamy względnie do zasług. Urodzajność tego ogrodu wystarcza zawsze dla wszystkich. Biada ogrodnikom leniwym i niewiernym, pozwalającym ginąć łasce, która mogłaby uzdrowić chorego, umocnić słabego, nakarmić głodnego. Zdadzą oni rachunek w dzień sądu z najdrobiejszego źdźbła trawy...

Po tych uwagach Siostra Emmerich wraca do widzeń ewangelicznych i tym kształtem je opowiada:

Po skończonym szabacie, Jan udał się do niewiast świętych, płakał z nimi i pocieszał je. Gdy odszedł, odpowiedzieli niewiasty, w tym również celu, Piotr oraz Jakób i oni jednak bawili tam krótko.

Maryja modliła się po cichu, błagając Boga o dostarczenie Jej możliwości oglądania jak najrychlej Jezusa. Błagania gorące wysłuchanemi

zostały, bo oto zjawił się przed Nią Anioł, niewidzialny dla innych i rzekł:

— Udać się, Maryo, do furty Nikodema, gdyż Pan jest blisko!

Rozradowało się serce Maryi. Natychmiast, nic nikomu nie mówiąc, owinawszy się płaszczem, podążyła do furty Nikodema, znajdując się w murze miejskim. Była wtedy godzina 9-ta z wieczora. Nie doszedłszy do furty, zatrzymała się w miejscu ustronnem, uderzona blaskiem, spływającym z góry. Podniosłszy oczy, rozplynęła się w błogości, ujrzała bowiem zstępującego ku Niej Jezusa, wspaniale jaśniejącego, bez najmniejszego śladu ran i męczarni, w otoczeniu licznego orszaku dusz sprawiedliwych. Jednocześnie usłyszała głos Jezusa:

— Marya, Matka moja...

Poczem Jezus uściśnął Ją i zniknął.

Niepokalana upadła na kolana, ucałowała miejsce, w którym Jej się Pan ukazał, następnie, pełna niewysłowionej pociechy, wróciła do świętych niewiast.

Zastała je przy długim stole, którego nakrycie zwieszało się aż do ziemi. Na tym stole układały pęki ziół wonnych, bańki z balsamami i olejkami oraz kwiaty lilij. Wszystkie te wonności zakupiły w Jerozolimie, aby nazajutrz jak najwcześniej namaścić i obsypać nim ciało Jezusa.

Gdy się to działo w wieczerniku, Józef z Arymatei cudownie z więzienia uwolniony został. Modlił się właśnie w zamknięciu pilnie strzeżonem, gdy nagle światłość niezwykła napełniła izbę więzienną i usłyszał głos, wzywający go po imieniu. Jednocześnie powała izby rozsunała się, ukazał się otwór, przez który postać jakaś, blaskami okolona, spuściła mu długi zwój płótna, podobny do całunu, w który on ciało Jezusa obwinał. Chwycił Józef oburącz zwój i w oka mgnieniu został wyniesiony na dach więzienia. Otwór natychmiast się zamknął, Józef zaś bez trudności dostał się na ziemię i podążył do wieczernika, w którym trwali na modlitwie uczniowie Jezusa. Gdy go zoczyli, rozjaśniły się ich oblicza, uważali go bowiem za straconego, a to dlatego, ponieważ rozeszła się pogłoska, jakoby z rozkazu starszyny żydowskiej został wrzucony do kanału.

Józef opowiedział im o cudownem swoim ocaleniu, posilił się i niezwłocznie uszedł do Arymatei. Wrócił stamtąd do Jerozolimy wtedy dopiero, gdy się upewnił, że mu w tem mieście żadne już nie grozi niebezpieczeństwo.

A u grobu Jezusa panowała cisza. Strażnicy jedni siedzieli, inni stali, Kasyusz zaś wciąż był zatopiony w rozmyślaniu. Ciało Przenajświętsze, obwinięte całunem i promieniejące światłością spoczywało pomiędzy dwoma Aniołami, zostającymi w nieustannej adoracyi u głowy

i stóp Jezusa, od chwili złożenia Go w grobie. Jeden Kasyusz może widział ich i światłość, jako napełniony łaską Ducha Ś-go, lecz dla żołnierzy innych cudowności te widocznymi nie były.

W tym czasie, to jest w nocy z soboty na niedzielę, Dusza Zbawiciela, z orszakiem dusz wyzwolonych, przeniknąwszy opokę, weszła do grobu i tam pokazywała towarzyszkom Swoim rany Swego Przenajświętszego Ciała. Zdało się, że wszystkie obwinięcia zdjętemi zostały, że duszom przedstawiło się samo Ciało Przenajświętsze, okryte bliznami i ranami. Mieszkające w tem Ciele Bóstwo ujawniło duszom wyzwolonym, w sposób cudowny, cały przebieg męczeństwa. Ciało Przenajświętsze wydawało się przezroczystem tak, że można było okiem zmierzyć głębokość Jego ran. Widok śladów męczarni przyjął dusze najgłębszą czią i bezmiernym żalem.

Siostra Emmerich nadmienia tu:

Zdało mi się, jakoby Dusza Jezusa, nie będąc doskonale złączoną z Ciałem, w Niem jednakże wyszła z grobu. Dwaj Aniołowie adorujący unosili teraz Przenajświętsze Ciało Zbawiciela nagie, zsiniałe, ranami okryte; przeniknąwszy chwiejące się z przerażenia skały, wstąpiły z Niem do Nieba, złożyły Je pod Tronem Najwyższego. Jezus, w obecności niezliczonych Chórów Anielskich, upadających na oblicza, przedstawiał Ojcu Niebieskiemu zamordowane Ciało Swoje...

Wtedy na ziemi zadrżała opoka, w której grób był wykuty. Wartujący przy grobie strażnicy, zdjęci niewypowiedzianą trwogą, popadali bez przytomności na twarze. Gdy się ocknęli, tłumaczyli sobie owo drżenie opoki trzęsieniem ziemi. Kasyusz jeden widział cośkolwiek co się działo, lecz nie umiał sobie z tego zdać dokładnie sprawy.

Święte niewiasty, przygotowawszy wonności, porochozodziły się do swoich cel. Nie myślały o wypoczynku, wsparły się jeno na pozwijanych kobiercach, chciały bowiem udać się do grobu przed świtem, gdyż w dzień, jak mniemały, mogliby im przeszkodzić wrogowie Jezusa. Lecz Marya, pokrzepiona widzeniem Jezusa, uspokoiła je i zapewniła, że mogą wypocząć, a potem iść bezpiecznie do grobu, bez obawy napaści z czyjejkolwiek strony. Polegając na tem zapewnieniu, niewiasty usnęły nieco.

Okolo godziny 11-ej w nocy, Marya, zniewolona niepowstrzymanem pragnieniem, jakby przeczuwając, że znów zobaczy Jezusa, obwinawszy się płaszczem szarym wyszła z domu. Udała się najprzód przed dom Kaifasza, potem przed dom Piłata, przebiegła całą Drogę Krzyżową. W miejscach, gdzie Jezus doznał sroższych męczarni, niegodziwszego obejścia, zatrzymywała się, upadała na kolana, całowała i łzami zraszała kamienie, na których zdawało Jej się, że widzi Najświętszą Krew Syna. W taki sposób doszła do Golgoty i tam się zatrzymała, gdyż

tam ukazał Jej się znów Jezus, który przedstawiwszy Ojcu Niebieskiemu zamordowane Ciało Swoje, powracał jeszcze do grobu, żeby teraz zmartwychwstać w pełni cudu. Poprzedzał Go Anioł, po bokach miał Aniołów z grobu, a po za Nim snuły się tłumy dusz wyzwolonych.

Postać Jezusa promieniała jasnością, lecz była bez ruchu. Z postaci tej wychodził głos, oznajmiający Maryi, co Syn Jej dokonał w otchłaniach; oznajmił nadto, że niebawem zmartwychwstanie, że zjawi się Jej w ciele przy kamieniu, gdzie był upadł, już wchodząc z krzyżem na Golgotę.

Marya ukłękła przy wskazanym kamieniu, Jezus zaś przebył całą Drogę Krzyżową, ukazując duszom świętym wszystkie szczegóły męki Swojej. Aniołowie zbierali najtroskliwiej wszystkie cząsteczki Przenajświętszego Ciała, które kaci w czasie męki powyrywali. Następnie Ciało Pańskie spoczęło w grobie, Aniołowie zaś przykładali do niego sposobem tajemniczym wszystko, cokolwiek kaci od Niego odłączyli. Potem Ciało Przenajświętsze zostało spowinięte znów w całun.

O szarym świcie, Magdalena, Marya Kleofasowa, Joanna i Salome wyszły z wieczernika, niosąc zioła i inne wonności. Jedna z nich niosła oraz latarnię zapaloną, lecz ukrytą pod płaszczem. Gdy zdążały do grobu, dokonał się wielki cud Zmartwychwstania.

Widziałam — opowiada o tem zdarzeniu radosnem i świętem Siostra Emmerich — między dwoma Aniołami promieniejącą Postać, w rycerskiem przystrojeniu. Była to Przenajświętsza Dusza Zbawiciela, która przeniknąwszy opokę, spoczęła w Ciele Swojem i w oka mgnieniu z Nim się złączyła. Wówczas wszystkie Członki Przenajświętsze zaczęły się poruszać, a Ciało Pańskie, złączone z Duszą Swoją i Bóstwem, wydobyło się z całunu. Wszystko promieniało jasnością.

W tej chwili potworre straszdyło wypełzło z ziemi blisko grobu. Miało ono ogon węża, łeb smoka i głowę ludzką, zdawało się, że zamierza rzucić się na Jezusa. Lecz Zmartwychwstały Zbawiciel nastąpił na łeb smoczy potwora i ugodził go po trzykroć w ogon laską białą, z powiewającym u szczytu sztandarem. Laskę tę trzymał w prawicy. Potwór zniknął natychmiast.

Potem Jezus, przyobleczony jasnością, przeniknąwszy opokę, uniósł się w górę.

Zadrżała ziemia, a z Nieba spłynął Anioł, w postaci rycerza, odważył kamień, grób zamykający i usiadł na nim. Żołnierze wartujący padali na ziemię i leżeli bez znaku życia.

Kasyusz, spostrzegłszy jasność, wszedł do grobu, a znalazłszy jeno całun, zamierzał natychmiast biedz do Piłata i opowiedzieć mu wszystko, co się stało. Zatrzymał się jednak, bo ziemia wciąż drżała. Wi-

dział Anioła, odwalającego kamień, widział grób pusty, lecz nie widział Jezusa... Nie był jeszcze godzien oglądać Zmartwychwstałego.

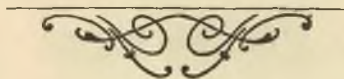
W chwili, kiedy Anioł grób odwał, Jezus ukazał się Matce Swojej, oczekującej przy kamieniu na Golgocie. Promieniał majestatem, tryumfem, chwałą, radością, szczęściem. Odziany był jakby jasnoblękitnym płaszczem, który jednak pozwalał widzieć szerokie rany Ciała Przenajświętszego. I one promieniały, a tak były szerokie, że można było palec w nie wsunąć.

Dusze święte, iż otchłani wyzwolone, pokłoniły się Maryi, Jezus ukazał Jej rany Swoje. Marya padła na kolana, chciała ucałować stopy Jego, lecz Jezus ujął Ją za rękę, podniósł i zniknął.

A nad Jerozolimą rozżłacać się począł wtedy świt...

Rychle świat dowiedział się o Chwale Zmartwychwstania i zabrzmiało od krańca do krańca radosne:

— Alleluja!!





ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA

Pana Naszego Jezusa Chrystusa

według Ewangelij Świętych opowiedziany
przez Sługę Bożego.

Tu Jezus ukazuje z daleka niezmierzoną wielkość posłannictwa Mesyasza; ukazuje w jednym promieniu światłości, w którym chwała i męka Syna człowieczego zlewają się razem, lecz męka jakoby znika, pochłonięta blaskiem chwały. Wszystka zaś tajemnica tego posłannictwa ma niezgłębione źródło swoje w miłości Boga. Wskutek tej nieskończonej miłości, którą objął świat, Bóg „posłał Syna Swego na ten świat, nie aby go sądził, ale żeby świat był zbawion przez Niego.“ „Kto wierzy w Niego nie bywa sądzon, ale będzie zbawiony, a kto nie wierzy, już osądzony jest“ — sam siebie potępia. Dziś nadeszła godzina tego zbawienia, które sprawia Syn, i tego sądu, który sam na siebie człowiek wydaje, gdy nie chce wierzyć w Syna. Każdy musi wybrać jedno lub drugie, wedle woli swojej.

Lecz wobec tego rozdzielenia, wobec tego brakowania ludzi przez Syna człowieczego, powstaje niezmiernie ważne pytanie: czem to się dzieje i dlaczego, że jedni wierzą w Syna człowieczego i przychodzą do Niego; drudzy zaś nie wierzą i są odepchnięci? Na to Jezus odpowiada:

— Światłość przyszła na świat. Jeśli ludzie umiłowali ciemności więcej niż światłość, stało się to dlatego, że ich uczynki i serca złe były. Każdy bowiem, który źle czyni, nienawidzi światłości, ani idzie na światłość, żeby nie były zganione uczynki jego. Lecz kto czyni prawdę, ten przychodzi do światłości, aby się okazały sprawy jego, iż w Bogu są uczynione. Co od Boga pochodzi, wraca do Boga.

W tej rozmowie Jezusa z Nikodemem, faryzeuszem, posiadamy pierwsze na piśmie ujawnienie nauki Mistrza. Ewangelia przekazała nam ją w kilku tylko zdaniach, w których jednak zawarła się wszystka treść tej nauki i z których oraz jasno się okazuje niezmierna onej głębokość. Przeto poznajemy stąd, że Królestwo Boże to uczestnictwo człowieka w istnieniu Boga Samego. Poznajemy, jaka droga prowadzi do tego Królestwa, a mianowicie droga przez ponowne narodzenie, które przemienia człowieka w nowe stworzenie, już nie cielesne, ale duchowe. Poznajemy, że warunkiem ponownego narodzenia jest chrzest z wody i z Ducha Świętego. Wreszcie osiągamy naukę, że do zrozumienia tej tajemnicy potrzeba wiary w słowo Proroków, od Boga posłanych i w słowo Tego, który przez nich mówi, który nad nimi wszystkimi góruje, to jest — w słowo Syna Bożego. Tu Jezus Sam Siebie przedstawia jeszcze jakby przez mgłę, którą zdarzenia późniejsze rozwieją, ukazując dzień jasny. Jest On znakiem, ustawionym pośrodku wieków i narodów, znakiem bolesnym a jasnym, jak krzyż, który jest Jego tryumfem, a na którym On w męce umiera.

Słowa Jezusa, wypowiedziane w tę pamiętną noc kwietniową, w ciasnem skromnego wieczernika zamknięciu, świat cały oświeciły. Duch kędy chce — tchnie. Tchnieniem jego owiane dusze odradzają się, co było ciałem — staje się duchem. Oto doniosłe zdarzenie w dziejach sumienia ludzkiego! Syn człowieczy, wówczas jeszcze nieznany, dziś króluje na wysokościach nieba, przez Siebie rozwartego, oświeca wszystek rodzaj ludzki. Widzi Go każde oko i jeszcze oglądać Go będzie. Ci, którzy patrzą na Niego z wiarą, są w Niego wcieleni, otrzymują przez Niego żywot wieczny. Inni marnieją w ciele i krwi, pogrążeni są w ciemnościach, śmierć trzyma ich w swej mocy.

Bez końca promienieje każde słowo Jezusa i nigdy, nigdy nie przemienie. Przez Niego wypowiedziane prawdy trwają niewzruszenie jako firmament niebieski. Czas nietylko, że ich nie zacierają, lecz wciąż nowe do nich objaśnienia gromadzi. Przenoszą nas one w świat nowy. Żaden mistrz, żaden mędrzec, ani przed Nim, ani po Nim takim językiem nie przemawiał. Słowa Jego to nie czcze, niedoścignione mrzonki, nie suche przepisy. Ożywiają one, odradzają, sięgają do najgłębszych tajników sumienia. Tylko sumienie ocenić i sprawdzić je może, sumienie każde, jeżeli się odważy poznać Boga przez wiarę.

Ewangelie nie mówią nam, jaki wpływ słowa Jezusa na Nikodema wywarły. Przypuścić się godzi, że objawienie, takimi usty wypowiedziane, oświeciły nawskroś duszę faryzeusza. Nikodem został uczniem ukrytym Mistrza, ale był gotów w każdej chwili stanąć w Jego obronie. Obaczmy później, jak wśród wrzawy burzliwego posiedzenia Sanhedrynu, Nikodem, w obecności doktorów, kolegów swoich, po uchwalonem przez nich postanowieniu pojmania Jezusa, wystąpi w imieniu sprawiedliwości, wołając:

— Izali Zakon nasz sędzi człowieka, jeśli by pierwaj nie usłyszał od niego i zrozumiał, co czynił?

A kiedy żydowska zaciekłość dopięła celu pożądanego, kiedy wydała na śmierć Jezusa, on za Mistrzem pójdzie aż na miejsce męki krzyżowej, po śmierci zaś Jezusa, wraz z Józefem z Arymatei i innymi uczniami, odda Mu posługę żałobną. I jeszcze potem podaży do grobu Ukrzyżowanego, celem nabalsamowania zwłok Jego, niosąc duży zasób wonności — „przyprawę mirry i aloesu jakoby sto funtów.“

Ksiądz Campans takimi uwagami zaopatruje rozmowę Jezusa z Nikodemem:

Oświecił Jezus tego faryzeusza, iż wskutek upadku pierwszych rodziców naszych, każdy człowiek poczyną się i rodzi w grzechu, ze skażoną naturą i skłonnościami, wiodącemi do złego. Dopiero obmyty wodą Chrztu Ś-go, przez łaskę Ducha Bożego, który wtenczas wstępuje do duszy i serca jego, odradza się duchowo i odzyskuje niewinność anielską. Obecność Ducha Ś-go w duszy człowieka po chrzcie jest prawdziwa; ale dopiero w skutku objawia się sposobem niepojętym, działając niewidzialnie na duszę, jak ta działa na ciało. Duch Przenajświętszy nietylko przy chrzcie wstępuje do duszy i serca człowieka. Obecność Jego widzieć się daje w czynach dobrych: w pobożności, mowie i całym postępowaniu, w pilnem wykonywaniu ćwiczeń pobożnych, w unikaniu grzechu i prowadzących do niego okazyj. Objaśnił nadto Jezus Nikodema, że tajemnice Wiary Ś-tej są niedocieczone dla rozumu ludzkiego, bo inaczej nie byłaby wiara. Ludzie bezbożni nie chcą wierzyć w te tajemnice wiary nie dlatego, że są nie do pojęcia, ale wskutek samolubstwa, wskutek tego, że są przeciwne ich skłonnościom cielesnym i przerażają ich.

Nikodem — nadmienia jeszcze ksiądz Campans — uwierzył w Jezusa. Nie należał on do onej wielkiej rzeszy Żydów, którzy podczas tej uroczystości Paschy, słysząc raz pierwszy naukę Jezusa i będąc świadkami naocznymi licznych, zdumiewających cudów, uwierzyli w Niego, a potem Go się wyparli. Jan Ewangelista powiada, że Jezus im nie wierzył. Ten Najświętszy nasz Zbawiciel, jako Bóg, znając dobrze wszystkie skrytości serca ludzkiego, znał niestateczność ich wiary

i chwiejność umysłu. Lecz pragnąc ich szczęścia, niczego nie pomijał, co tylko mogło utwierdzić ich w wierze prawdziwej, to wszystko robił dla nich. Więc utratę wiary i zgubę wieczną sami oni na siebie sprowadzili. Tak samo postępuje Bóg z każdym grzesznikiem, chociaż jako wszechwiedzący, naprzód wie dobrze, kto będzie z łask Jego korzystał, a kto ich nadużyje lub niemi pogardzi. Mimo to, wszystko czyni dla każdego grzesznika, co tylko widzi, że jest pożyteczne i potrzebne dla zbawienia duszy jego. Kto przeto nie korzysta z tych łask Pana Boga, sam sobie przypisać musi zgubę swoją. Niema takiego potępieńca w piekle, któryby się uskarżał na brak łaski Bożej.

Jezus zaraz po skończeniu uroczystości Paschy opuścił Jerozolimę z uczniami Swoimi i przemieszkował w Ziemi Żydowskiej. Tak powiada Ewangelia, nie wskazując wyraźnie miejsca, w którym się zatrzymał. Niewątpliwie, że nigdzie nie zamieszkał dłużej, lecz przebiegł wszcz i wzdłuż całą tę krainę, która tym sposobem przed Samaryą i przed Galileą cieszyła się Jego apostołstwem. Z tego czasu jednak żadna w tej krainie nie przechowała się Jego pobytu pamiątka. Nie znachodzimy po Nim śladu ani w Betlehemie, ani w Karim, ani w Hebronie, ani w Engaddi, ani na pograniczu w Idumei. Jan Ewangelista ogólnie tylko nadmienia, że głos Jezusa rozszedł się po całej Ziemi Żydowskiej oraz że ze wszystkich miast i miasteczek rzesze przybiegały do Niego i szły za Nim, słuchając Go.

Głosząc naukę Swoją w Judei, Jezus stosował się do wymagań posłannictwa Swego, bo Judea była niejako urzędowym punktem środkowym, ogniskiem wszelkiego działania proroczego i mesyańskiego. Gdzież zresztą miał Syn Boży rozpocząć apostołstwo, jeśli nie na tej ziemi, świętszej Izraelowi nad wszystkie, w której granicach znajdowała się świątynia, która żywiła pokolenia ze wszystkich dwunastu izraelowych najprzedsiejsze, w której życie religijne i dziejowe ludu wybranego przechowywało się najtrwalej i najczystszej? Tu przecież, w tej Judei, z woli Boga, narodził się Jezus — więc była ta kraina rzeczywiście Jego ojczyzną. Tu, na puszczy Judzkiej, Jan Chrzciciel ogłaszał Jego przyjście, więc słusznem było, żeby mieszkańcom tutejszym ukazał się naprzód zapowiedziany Mesyas.

Pobyt Jezusa w Judei, według obliczeń Ojca Didona, trwał kilka miesięcy. Opuścił ją, wracając przez Samaryę do Galilei, na cztery miesiące przed żniwami, to jest w grudniu 781 roku, rachując od czasu założenia Rzymu. W Ewangelii Jana mamy napomknienie, które mimo krótkości swojej, daje nam ważną wskazówkę, jak w tym okresie czasu Jezus prowadził apostołstwo. Ewangelista wspomniany mówi: „Jezus nie chrzczył, ale uczniowie Jego. Pociągał do siebie wyznawców, a wszyscy szli do Niego.“ Z tych słów wnioskować można, że Jezus

w pierwszych czasach publicznej działalności Swojej chciał sam przygotować lud do przyjęcia nauki Jego i do poddania się wpływowi Jego. Nie odnawia już przez Jana Chrzciciela dokonanego dzieła, lecz potwierdza je i uzmysławia. Wszystkie nauka Jego zamyka się niejako w dwóch słowach, wiernie w Ewangelii Marka przechowanych. Nie mówi, jak Chrzciciel: „Zbliża się czas“ — lecz: „Wypełnił się czas.“ Po za tem ogłasza, jak ogłaszał Chrzciciel, nieodzowny warunek zmiany zewnętrznej i pokuty, ale dodając:

— Przybliżyło się Królestwo Boże. Wiercie Ewangelii, Dobrej Nowinie, której jestem zwiastunem i spełnieniem.

Każę uczniom Swoim chrzcić, jak to czynił Jan, i tym sposobem przygotowuje ustanowienie chrztu chrześcijańskiego, który będzie znakiem skutecznym duchowego odrodzenia człowieczeństwa. Nauką Swoją i postawą wywiera urok potężny. Wszystkie Judea poruszyła się, jak na głos Jana, rzesza dąży do Niego, pociągana siłą Jego świętości i cudów.

W owym czasie wszystkich — pospółstwo, doktorów, uczniów Jana i Jezusa, żywo zajmowała sprawa oczyszczenia, potrzebnego do uczynienia siebie godnym Królestwa, którem Mesjasz miał obdarzyć naród wybrany. Ewangelia Jana wspomina o zdarzeniu ważnem, w którym się ujawnia to usposobienie ogólne. Wspomina mianowicie o „gadaniu”, to jest o sporze, jaki się zawiązał właśnie w sprawie oczyszczenia pomiędzy niektórymi Żydami a uczniami Jana Chrzciciela. Co było przedmiotem tego sporu? Czy spierano się o to, które oczyszczenie ma większą skuteczność: czy obmycie zalecane przez Zakon, czy obrządek ustanowiony przez Jana Chrzciciela, czy wreszcie chrzest, jak go udzielali uczniowie Jezusa, — o tem Ewangelia nie objaśnia. Jeden tylko szczegół zaznacza, a mianowicie zazdrość, jaką w zwolennikach Chrzciciela budziło szybko rosnące powodzenie Jezusa.

Wskutek onego sporu, uczniowie Chrzciciela udali się do mistrza swego, który wciąż jeszcze chrzcił rzesze, bo posłaniec jego skończył się miało nieco później dopiero. Chrzciciel przebywał wtedy w Enon. Była to miejscowość nieznaczną, słynna tylko z obfitości źródeł, której dziś śladu nawet niema. Ś-ty Elzebiusz, a po nim Ś-ty Hieronim, umieszczają Enon w pobliżu Salem, w dolinie Jordanu, z prawego brzegu tej rzeki, o mil ośm od Seytopolis. Uczniowie tedy Chrzciciela, odnalazszy tam mistrza swego, oświadczyli mu:

— Nauczycielu, ten, który z tobą był za Jordanem, któremuś dał świadectwo, teraz chrzci, a wszyscy idą do Niego...

W słowach tych brzmi gniew i niechęć zazdrośna. Widocznie powodzenie Jezusa drażniło zwolenników Chrzciciela. Zdawało im się, że wskutek tego szwankuje sława ich mistrza, że błędnie ona i nawet ga-

śnie wobec sławy Jezusa. Czuli się poniżonymi tą krzywdą — jak mniemali — mistrza i nie mogli się z takim stanem rzeczy pogodzić.

Rzadką bowiem jest cnota wyrzeczenie się samego siebie, a nawet jedną z najtrudniejszych do osiągnięcia cnót. Człowiek pojedynczy czasem się na nią zdobędzie, lecz nigdy całe stronnictwo. Dzieje nam wskazują założycieli szkół i przywódców stronnictw, którzy przez tę cnotę imię swoje upamiętnili, lecz żaden z nich nie zdołał jej wszczepić w ogół uczniów, czy też w ogół zwolenników swoich. Wielka dusza Jana musiała także pokosztować goryczy tej prawdy smutnej. Ani powaga jego, ani bohaterskie jego zaparcie się siebie wobec Jezusa, ani to, że starał się wszelkimi sposobami pociągać wszystkich do Jezusa, nie mogło dokonać, żeby wszyscy ci, którzy go nazywali nauczycielem swoim, oddali się Jezusowi. Jakoż z tych upartych uczniów Chrzciciela utworzyła się sekta, która pod nazwą Mendaítów całe wieki się utrzymała.

(D. c. n.)



Bogarodzica naszą Matką.

Wykazaliśmy z pismem ś-tym w ręku, iż Marya wielki otrzymała przywilej na rozdawnictwo łask, — teraz mamy powołać się na pisma Ojców ś-tych, doktorów Kościoła i orzeczenia najwyższych nauczycieli, którzy ze Stolicy Piotrowej strzegą prawd Bożych.

Ani na chwilę nikt nie może przypuścić, aby Kościół, ta oblubienica Chrystusowa, w prośbach swoich do Niebieskiego Oblubieńca pomijać mogła wstawiennictwo Maryi.

Napróżno szukaliśmy jakichkolwiek śladów tego zaniedbania albo opuszczenia; wszędzie, zawsze, we wszystkich hymnach, modłach, w układzie publicznego kultu, znaczenie Maryi nie schodzi z pamięci — a ufność w Jej dobroci ożywia wszystkie serca, — jak to będziemy mieli nieraz sposobność potwierdzić.

Streszczenie postawionego zadania możemy wskazać w officium ¹⁾ świeżo ułożonem i przepisaniem przez Stolicę Apostolską: „Wszzechmogący wieczny Boże, któryś chciał, abyśmy wszystko otrzymywali przez Niepokalaną Matkę Syna Twojego — spraw i t. d. ²⁾

Omówienie to wstawione w modły liturgiczne nie jest jedyne — znajdujemy wiele innych — to samo znaczących w pismach Doktorów i Ojców Kościoła. Wszystko przez Maryę — wszelkie dobro przez Maryę, oto wspólny i zgodny głos pisarzy bogomyślnych, a głównie od czasów Ś-go Bernarda.

Wielki ten chwalca i służebnik Królowej Nieba, ukazując w Chrystusie źródło życia, jakie z miasta Bożego płynie ku nam i gasi wszel-

¹⁾ Officium—nazywa się układ modłów, przepisany na każdy dzień.

²⁾ Domine Deus Omnipotens, qui per immaculatam Genitricem Filii Tui omnia nos habere voluisti da nobis etc. Poste Jes. Manif. Im. M. a sacro nunismato 27 Novem.

kie pragnienie — Marya zaś jest łącznikiem — (aquae duct) za którego pomocą one dobra i łaski dla nas przystępnymi się stają.

Znaj, człowieku, porządek Boży, świadczy on o Jego mądrości i dobroci. Chcąc wybawić rodzaj ludzki z niewoli grzechu, cały okup złożył w mocy Maryi ¹⁾.

Zastanawiając się głębiej nad tajemnicą miłości, widzimy, iż cześć, jaką oddajemy Maryi, zgadza się z wolą Bożą, że wszelką nadzieję pokładać możemy w tej, która opływa we wszystkie radości.

Usuniecie słońce oświecające ziemię, noc zapadnie. Bez Maryi, tej gwiazdy morskiej — świat pograży się w ciemnościach.

Z całem przeto serdecznem uczuciem, z gorącą miłością, szanujemy i wielbmy Maryę; taka jest wola Tego, który chce, abyśmy wszystko osiągnęli przez Maryę. Życzenie to nasz pożytek ma także na widoku ²⁾.

I obszerniej dalej wykłada: Marya zabiega i troszczy się, żeby w nędzy nas poratować — troski nasze osłodzić; już to budząc w nas wiarę — już umacniając nadzieję — oddalając zwątpienie — dodając otuchy. Nie masz odwagi zbliżyć się do Ojca, głos Jego napęlnia cię strachem — gotów jesteś skryć się pod ziemię. Zesłał Syna Swego jako pośrednika... ale i w Osobie Jezusa majestat Boży jaśnieje, bo choć stał się człowiekiem — nie przestał być Bogiem. „Udaj się do Maryi. W Maryi ludzka natura — bez skazy wszystka piękna — Jej przyczyna wysłuchana zostanie. Syn przyjmie prośbę Matki, a Ojciec wysłucha Syna. Oto jedyna droga dla grzeszników, w tem leży naszej ufności siła.—Znalazłaś łaskę u Boga — powiedział Anioł — i zawsze ją znajduje, ilekroć łaski potrzebujemy. Szukajmy przeto łaski... szukajmy jej przez Maryę — a Ona znajdzie i wspomóż nas. Przytoczone słowa nie tylko świadczą o osobistych uczuciach śgo Doktora, ale pouczają nas, że w porządku Odkupienia i korzystania z zasług Jezusa Chrystusa, wszystko się dzieje za współudziałem Maryi ³⁾

Żądacie więcej jeszcze dowodów? Mamy ich bez liku.

„Wiedźcie — pisze inny autor — żyjący w epoce uświetnionej przez opata z Clairvaux—że Marya — to Pani świata. O Niej napisał Psalmista: jako oczy służebnice w rękach pani swojej.“

Służebnica Maryi — naszej Pani — to każda dusza, to cały kościół. Oczy służebnicy powinny być *w rękach Pani*, już to żeby przez jej ręce ofiarować Bogu uczynki nasze. ⁴⁾

¹⁾ Totius boni plenitudinem posuit in Maria Brev. Święt. Wspom. Wier. Aux. Chr. 24 maja.

²⁾ S. Bern. de Aquaeducta nr. 4.

³⁾ S. Bern.

⁴⁾ Speculum B. V. M. Lect. 3 Op. S. Bonaventuri t. XIV.

Pobożny i uczony Dyonizy z Chartreux tak pisze: „Pan nasz, Jezus Chrystus, pragnąc uczcić i uwielbić Matkę Swoją, ustanowił Ją Pośredniczką pomiędzy Nim, jako Sędzią i nami, jako podsądnymi. Postawił Ją obok siebie jako naszego obrońcę — Jej opiece zwierzył Kościół wojujący — poddał całe zastępy wybranych, aby nic nam nie było danem — jedynie za Jej sprawą. Jeżeli zostajemy wysłuchani — jeżeli otrzymujemy miłosierdzie i łaskę, — wiemy, że wszystko przychodzi nam przez Maryę. ¹⁾

W Książce de Laudibus B. V. M. (Uwielbienia Najświętszej Maryi Panny), autor stosując do Bogarodzicy słowa Pisma Ś-go, przytacza i to powiedzenie: „*a przyszły mi pospół z Nią wszystkie dobra.*” i mówi: — trzeba rozumieć, że temi dobrami są łaski, jakie szczodroblivość Boża na nas zlewa przez ręce Maryi. Dla tego też trzeba się przykładać, aby Ją znać, ukochać; a kto Ją ukocha — otrzyma od Syna za Jej wstawienictwem, ipsa mediantem, wszystko czego potrzebuje teraz i na przyszłość — pomnożenie w cnotach, jakie są zakładem żywota wiecznego. ²⁾

Oto jeszcze nowa powaga w Kościele łacińskim Albert Wielki — mówiąc o Maryi, jako łaski jest pełna, objaśnia, iż z pełności tej przez Jej ręce otrzymujemy wszelkie łaski i do Maryi odnosi słowa mędrca: *jam jest jako przekop wody niezmierny, jam jako rów rzeki*, to znaczy darów miłosierdzia Boskiego. ³⁾

Opuszczamy inne równoznaczające objaśnienia, a zatrzymamy się nieco dłużej na orzeczeniu Leonna XIII. W Encyklice o świętym Różańcu „*Jucunda semper* — pisze: Czcigodni Bracia — oby Bóg, który nam dał w miłosierdziu Swojem, taką pośredniczkę i który chciał, abyśmy wszystko przez Maryę otrzymali, raczył przez Jej przyczynę i za Jej zasługą wysłuchać nasze prośby...

Żeby zaś każdy wiedział, na czem się w piśmie swojem opiera, nie pomija wskazać świętego Bernarda. I znowu w ciągu listu przytacza omówienie świętego Bernardyna z Sienny: jako wszelka łaska nam dana od Boga spływa na Chrystusa, od Chrystusa na Maryę przez Maryę nam się dostaje. ⁴⁾

Leon XIII w encyklice swojej szedł za przykładem Piusa IX, który z Gaëty zapytywał biskupów, jakie ich zdanie, jakie uczucia wiernych odnośnie do Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

¹⁾ Dionys. Carthus De via et fine solitor. c. 7.

²⁾ Ricord. a S. Laur. de Laud. c. 3. Op. Alberti M. t. XX.

³⁾ Eccles. 24. 41.

⁴⁾ Encycl. Ubi primum dato lajetae 1849.

Wiadomem Wam jest, pisze Ojciec Święty, że całą ufność naszą pokładamy w Najświętszej Maryi Pannie — wszelka łaska ku zbawieniu od Niej przychodzi... Taka wola Tego, który chciał, abyśmy wszystko mieli przez Maryę. Oprócz tego we wszystkich encyklikach, allokucjach Pius IX powtarza, że Najświętsza Marya Panna jest naszą matką, ukochaną od wszystkich, matką, która wszystko wyprosi, znajdzie, czego szuka i nie może być zawiedziona w swojej prośbie. ¹⁾

(D. c. n.)

ks. Wł. F.



¹⁾ Allok. 29 kwietnia 1849. 20 grudnia 1867 Enc. Nost. Nobiscum 8 decem. 1849 Quanta Cura 8 decem. 1864.

Dzieje klasztoru Jasnogórskiego,
KU CZCI I CHWALE BOGARODZICY OPOWIEDZIANE
przez
CZCICIELA MARYI.

Część druga:
KSIĄDZ PRZEOR AUGUSTYN KORDECKI

Zamoyski był czegoś niesłychanie wesoły, chodził z twarzą rozjaśnioną, opięty pancerzem, w misiurce, w kaftanie drucianym. Nie mógł wytrzymać dłużej pan Piotr Czarniecki, pochwycił go za rękę i prosto z mostu zapytał:

— Mości mieczniku, dość komedyi! Widzę jakieś aparaty do czegoś, a zgoła nie wiem o niczem. Co to znaczy? Pókiż tego będzie? Czy i mnie nie wierzycie?

— Panie Piotrze kochany — odparł Zamoyski z uśmiechem — waszmość jesteś takiego temperamentu, że chciałbyś sam wszystko robić. Pozwolić i mnie coś obmyśleć, pokazać, że tu darmo chleba nie jem...

— To tak? A ja mam stać z założonemi rękoma? Protestuję! Na to zgody niema! W każdym razie odsłoń waszmość tajemnicę, jeśli nie chcesz, żebyśmy się pogniawali...

— Odsłoń, ale z góry zapowiadam, że waszmość w fortecy pozostać musisz.

— Hm... w twierdzy pozostać? Znaczy się, że kędyś wyfrunąć waszmość myślisz...

— Nieinaczej. Uplanowałem wycieczkę.

Żachnął się pan Piotr.

— Może o białym dniu? — zapytał.

— Zgadłeś waszmość — potwierdził Zamoyski wesoło.

Spochemurniał Czarniecki, jał wąs motać na palcu.

— Hm.. a przeor? — mruknął.

— Jeszcze nie wie, ale chyba nie będzie przeciwny. Dobrałem sobie ludzi według myśli, z nimi o południu wyskoczę.

— Beze mnie? Beze mnie?

— Przypomnijże sobie waszmość racyę, dla której mnie na swoją wycieczkę zabrać nie chciałeś — tłumaczył się Zamoyski. — Można ją przystosować teraz i trzeba nawet. Ryzykiem musim się dzielić, żeby w przypadku śmierci jednego, drugi ku obronie tu został. Myśmy dwaj, bez przechwałek mówiąc, jakoby ręce przeora. Obadwaj jednocześnie narażać się nie możemy!

Czarniecki wciąż się dąsał, pomrukując:

— Ani słowa, racya słuszna! Ani słowa! Bądź co bądź, mój miecznik, krzywdą mi się stanie, jeśli nie dam szabli mięsa szwedzkiego pokosztować.

Ułapił go miecznik za szyję, uściskał i mówi:

— Nie marszcz się waćpan, daj gęby i zgoda. Tyś przecie swoje zrobił.

— Ba! kiedy to było.. Zresztą moja wycieczka odbyła się nocą,— za pozwoleniem rzekłszy — po złodziejsku, a waszmość idziesz w biały dzień. Niechże cię nie znam. Ha, cóż robić... stało się!

Nadszedł właśnie przeor i spojrzawszy na rozmawiających, zagadnął:

— A co to waszmościom? Miecznik rozweselony, oczy mu się śmieją, a waść, panie Piotrze, kwaśno patrzysz? Przyczyna musi być.

— I jest! — westchnął Czarniecki. — Miecznik sobie bankiet wyprawuje, a mnie jeno ślinkę łykać pozwala. Taki z niego frant.

— Bankiet? — powtórzył przeor. — Nic nie rozumiem...

— W tem rzecz — ozwał się Zamoyski — że o południe ruszam wycieczką za mury. Wszystko obmyślane, ludzie gotowi. Wpadniemy na Szwedów piorunem, posiekamy ich na kapustę, zagwoździm armat ile się da i kwita! Panu Piotrowi nie w smak, że ostać tu musi.

— Wycieczka o dniu?! — zawołał Kordecki. — Ale to niepodobna! Na tak niebezpieczną imprezę waćpana nie puszczę!

Dopieroż miecznik persadować, naciskać i tłumaczyć, prosić wreszcie tak, że Kordecki zmiękł:

— Niechże waćpana Bóg prowadzi, kiedy natchnął — rzekł. — Byleś wrócił szczęśliwie.

— Wróć! Najświętsza Panna mnie zasłoni. A uważaj jegomość, że taka wycieczka (bo ani wątpię, że się uda) najlepiej strachajłów uśmierzy. Korzyść podwójna: Szwed spuści z tonu, a duch załogi się podniesie.

— Słusznie waszmość powiadasz — przytaknął przeor. — Miły Boże! Czemuż Rzeczpospolita nie ma więcej takich synów...

Jakoż o południu, furta od strony wschodniej, dobrze w fosie ukrytą i kamieniami zawaloną, wymknęło się do przekopu, z Zamoyskim na czele, stu ochotników. Przeor tę gromadkę waleczną pobłogosławił, na pana Zamoyskiego świętości włożył, poczem stanął na murach, wraz z innymi obserwować przebieg zuchwałej imprezy.

Niepokój czuli wszyscy, serca biły przyspieszonym tętnem. Pan Czarniecki stał przy działach, które w stosownej chwili miały się odezwać, aby odwrót walecznym zasłonić. Przeor modlił się; w kościele na intencję wycieczki „Pod Twoją obronę“ śpiewano.

Garść rycerzy pędem sunęła do obozu. Droga była pusta, cichaczem dostali się pod milczącą baterię szwedzką. Obok Zamoyskiego postępował syn, kilkunastolatek...

Zanim Szwedzi napastnika spostrzegli, już ten siedział im na karkach i rąbał zawzięcie. Krzyk się wszczął, wrzawa, zamęt niesłychany. Miecznik z częścią ludzi oddzielił się i podążył górników, minę kowających wygnieść; młody Zamoyski został przy baterii, którą pospiesznie zagważdzano, odrębując się Szwedom. Niewielu ich tu było, ale w dalszym obozie już zauważono zamieszanie, usłyszano krzyki i strzał, więc żołnierstwo ruszyło się zewsząd.

Pan miecznik, stanąwszy przy minie, zawołał:

— Szwedów tylko bić! Górników nie ruszać, to nasi! Pracują przymuszeni...

A zwracając się do górników, dodał:

— W lot ruszajcie do domów i nie pomagajcie więcej heretykom! Marsz!

Kilku warty szwedzkiej, tu czuwającej, migiem rozsiekano, górnicy w jednej chwili pierzchli, radzi uwolnieniu od roboty, którą ze wstrętem spełniali, poczem pan miecznik wrócił do syna.

Tymczasem cały obóz był już na nogach. Szwedzi, nie mogąc się połapać, co to się dzieje, wrzeszczeli, przeklinali, tłoczyli się, koni dosiadali... Wrzawy piekielnej dopełniały chrapliwe głosy rozpaczliwie alarmujących trąb...

Rozpędziwszy górników z miny, zagwoździwszy baterię, narąbawszy sporo pieszego nieprzyjaciela, pan miecznik dał znak do odwrotu. Czas był najwyższy, bo już jazda szwedzka zbliżać się zaczęła. Przeto kopnęli się ku klasztorowi jasnogórscy, Szwedzi za nimi, konno i pie-

szo, zwałem... Ale zaledwie ona pogoń zbliżyła się do twierdzy na strzał działowy, Czarniecki zakomenderował ognia, więc musiała się wstrzymać.

Słowem wycieczka udała się nad wyraz pomyślnie, Szwedzi jeszcze z nagłego alarmu nie oprzytomnieli, gdy Zamoyski ze swoją garścią już był z powrotem w klasztorze.

Millerowi dano znać o wycieczce z warowni już po niewczasie. Siedział właśnie przy obiedzie, aż tu wpada raniony puszkarz, wołając:

— Jasnogórscy na obóz napadli...

— Co? Jak? Nie może być! Gadaj! — posypały się pytania oficerów.

— Zagwoździli działa, zarabali kilkunastu naszych, rozpędzili górników... — bełkotał zdyszany puszkarz.

Oślupiał Miller.

— W biały dzień napadli? W biały dzień na nas? Oszalałeś chyba! — zawołał.

Lecz natychmiast kazał sobie konia podać i ze starszyzną na miejsce przez puszkarza wskazane popędził. Tu ślady jeno zwycięskiego wtargnięcia miecznika zastał. Przekonał się, że jasnogórscy dwa działa wielkie zagwoździli, broni, stojącej w kozłach, ile udźwignąć mogli, zabrali, przytem rzeź w ludziach sprawili okrutną. Dalej, przy minie, leżeli wartownicy porąbani, górników zaś ani śladu.

Miller patrzył na to wszystko szeroko rozwartemi oczyma, pienił się ze złości, a słowa wymówić nie mógł. Objechał miejsce klęski wszczep i wzdłuż, następnie do namiotu wrócił. Tu szła go porwał — zwołał pułkowników, zmusił się do śmiechu, ponalewał kielichy i wznosząc jeden, krzyknął ochrypłym głosem, w którym wściekłość brzmiała:

— Na zgubę tych szaleńców! Na zgubę! Zginąć muszą, bo takiego zuchwalstwa — nie daruję! Prochy i broń nową Wittemberg nam lada dzień przyśle, a wtedy... inaczej się do nich wezmę... Czary, czy nie czary — muszę ich zmódr! Pijcie mości panowie! Na zgubę Jana Kazimierza, Jasnej-Góry i całej Polski!

Podniesiono kielichy, naraz z twierdzy klasztornej zagrzmiął wystrzał, kula szarpnęła bokiem namiotu, który się zachwiał i runął na zebrane w nim towarzystwo, wzniecając przerażenie straszne. Wszyscy uciekać zaczęli ku miasteczku, a Miller przodował szparko, jak gdyby mu lat ubyło. Kłął i odgrażał się okrutnie.

Oczywiście, że wypadki te silnie podkopały ducha Szwedów, już tak zniechęconych. Żołnierze z odrętwieniem poglądali na ofiary wycieczki, zdawało się, że mówili oczyma:

— Wszystkich taki koniec tu spotka...

Nawet szemrać zaczęli, mrużyć o daremnych stratach. Miller, zauważywszy tak groźny nastrój w obozie, kroki zaczepne do dwóch dni zawiesił. Skłonił go do tego i brak prochów. Wielkie działa, które przysły bez amunicji, szybko wyczerpały zapasy obozowe, trzeba było resztek oszczędzać, dopóki z Krakowa Wittemberg nowych zasobów nie przyśle...

Wogóle położenie Szwedów, mimo tak znacznych ich sił, stawało się coraz bardziej uciążliwym. Już sama mnogość żołnierza, którego użyć razem nie było można, stawała się wprost ciężarem. Wioski okoliczne, splondrowane nieludzko, żywności dostarczyć nie mogły, więc głód zazierał do obozu, a do tego mrozy ostre dojmowały... Księżę heski i pułkownik Sadowski bez ogródek nalegali na Millera, żeby się cofnął, przedstawiając wcale rozsądnie, że pozostając pod murami, może się doczekać ostatecznej klęski, — ale stary generał jeszcze się opierał.

— Z hańbą odejść stąd nie możemy burczał po swojemu. — Gdzie ambicja? Gdzie honor? Lada dzień oczekuję prochów, niech tylko nadejdą, sam poprowadzę do szturm i zburzę ten kurnik przekłety!

Przez dwa dni następne milczały działa szwedzkie, a owa cisza przynębiająco oddziaływała także na oblężonych, których pomyslna wycieczka pana miecznika niewiele, wbrew jego spodziewaniom, wzmochniła na duchu. Bo wśród niebezpieczeństwa straszniejszym może nad nie jest niepewność i wyczekiwanie. Więc bojaźliwszym się zdało, że lada chwila w powietrze wylecą, insi znów obawiali się spisku — zdradliwego otworzenia bram nieprzyjacielowi...

Przeor i starszyzna domyślili się snadno, że rozejm nastał wskutek jakiegoś braku u Szwedów. Ten i ów bąkał, że należałoby nieprzyjaciela teraz szarpać i niepokoić, lecz oględniejsi przypomnieli, że oblężeni z zapasami wszelkimi liczyć się winni. Jakoż w klasztorze zapasu prochów nie było nazbyt wiele, codziennie też ubywało żywności. Stąd racje zakonników, szlachty i żołnierzy zmniejszały się, acz nieznacznie, na co się jednak nikt nie uskarżał, tembardziej, że trwał Advent, ojcowie zaś nasi ściśle go obchodzili, aby powściągliwością w jadło i napój przygotować się godnie do uroczystości Narodzenia Zbawiciela.

O zmniejszaniu się zapasów jeden tylko przeor wiedział, bo sam on tylko składów i spiżarni doglądał, rachując, na jak długo tego, co Bóg dał, wystarczyć może. Wiara zaś jego była tak wielka, iż nie wątpił, że w razie ostatecznym Najświętsza Panienka sprawi cud rozmnożenia zapasów. Żelazny to był zaiste mąż — nic go zachwiać, nic zachmurzyć, nic przerazić nie mogło. Odpychał zwątpienie od siebie i od drugich jednemi zawsze słowy: „Wiary i zgody!“ — Nikt w tej mierze mu nie dorównał. Wszyscy mieli chwile zwątpienia, godziny słabości, —

on jeden od nich był wolen. A jeżeli się zachwiał, to wnet gorącą modlitwą i pokorą odpędzał grzeszne strachy i korzył się u krzyża, który na niego zlewał pociechę i męstwo. Przyciśnięty, ratował się pieśnią do Ducha S-go, a zanim ją zakończył, już zbroja okrywała piersi, pogoda wyjaśniała czoło.

Bohaterskiego stanu duszy jego nic zmienić nie potrafiło. Czas nawet, który kruszy ludzkie postanowienia rdzą niepowodzeń powolnych, czas ten zdawał się go zbroić i wzmacniać. Więcej czuł obawy w początkach samych. Teraz, tyle przetrwawszy, już o niczem nie wątpił — czuł cud i wierzył w cud.

Lecz obok niego, oprócz dwóch wodzów nieustraszonych także, rozgrzanych walką, w której życie zaczerpnęli, oprócz garstki wiernych, — reszta codzien traciła siły, codzien potrzebowała nowej otuchy. Nawet zakonnicy, przy ustawicznym, bezpośrednim wpływie Kordeckiego, wytrwać z nim nie mogli; wsparci na chwilę — upadali, wstydzieli się, podnosili i na wiarę zdobyć się nie mogli. Nieustannej tu potrzeba było pilności, czuwania, aby nie pozwolić się wzmódz tym panicznym strachom, ciągle je przerywać i gasić. Przeor pracował w pocie czoła, w bólu serca walcząc ze słabością ludzką. I nie jątrzyło go to ani gniewało, bo serce jego nie znało gniewu nigdy, litość w niem zastępowała to uczucie. Okazywał surowość, gdy jej było potrzeba, ale nie czuł niechęci, znużenia, niecierpliwości. Ze słodyczą anielską prowadził ową pracę bez końca, przy której z jednej strony trzeba było odwagi niepospolitej, a z drugiej — niepospolitej cierpliwości.

Trzeciego dnia pod wieczór, rozmyślał Kordecki w swojej celi, aż tu pierzchliwa szlachta, wpadła do niego znów z lamentem:

— Zginęliśmy, Ojcie Wielbny! Już po nas! Wozy z Krakowa wiozą Szwedom prochy, broń i kto wie, nie jakie posiłki...

Przeor wyczekał, dopóki się nie wyskarżyli, wtedy dopiero zagadnął łagodnie:

— A nie widzieliście, czy nie dąży im w pomoc hufiec Aniołów, regiment Cherubinów, potęga Maryi, jak nam?

Stropiło to pytanie szlachtę, więc przeor nadmienił:

— Szwedom ludzkie siły idą w pomoc, a wszak mieliście czas przekonać się, że nie są one dla nas groźne.

Niema uczucia, któreby się łatwiej rozbudzało, któreby zaraźliw-szem było i równie szybko się rozszerzało, jak strach. Jestto płomień, co w mgnieniu oka obejmuje, czego dotknie — jeno żelazni i kamienni ludzie mu się opierają. Szlachta, przejęta strachem, nie przedstawiała się skarżyć. Daremnie ich przeor pocieszał, uspakajał, zapewniał — powtarzali swoje:

— Zginęliśmy!

Dopiero gdy Zamoyski się zjawił i huknął groźnie, jakoś ucichli.

Zaledwie przeor pozbył się jednych — nacisnęli go zakonnicy. Mówili oni:

— Nie przystoi, by zakonnik, który się wyrzekł świata, a przyjął duchowną służbę Chrystusa, uzbrajał się mieczem i krew przelewał. Ustępując raczej, ma dbać o swoje ocalenie. A jeżeli dla braku żywności wypadnie uleść nieprzyjacielowi, czy nie lepiej uprzedzić tę ostateczność ugodą wcześniej zawartą, żeby długą {deliberacją nie podsycać wściekłości nieprzyjaciela, który po zmianie okoliczności, na żadne warunki nie przystanie...

(D. c. n.)



KSIEGA CUDÓW,

doznanych za sprawą Najświętszej ^{Przeor} Panienki Częstochowskiej.

R. 1703. Najprzewielebniejsza Przełożona klasztoru poznańskiego Karmelitek bosych zeznała do akt jasnogórskich: „Jezus Marya. W roku Pańskim 1703, w Poznaniu, Wielebną Matkę Eufrozyę od Zwiastowania Najświętszej Panny Karmelitek bosych znagła paraliż dotknął tak bardzo, że się wcale ruszyć nie mogła. Głowa z karku wykręciła się i na piersiach wisiała; oko jedno na wierzch wystąpiło; usta bardzo się skrzywiły; lewa ręka wykrzywiła się przy ramieniu, przy łokciu i u pięści; noga zdrętwiała, bez władzy i czucia. Przyzwani doktorowie ratowali, jak mogli, ale bez skutku żadnego. Żałosne tedy Siostry udały się na modlitwę do obrazu Panienki Częstochowskiej i z ubogiem wotum, według możności, wyprawiły posłańca do Częstochowy, a gdy tam stanął i Msze Ś-te odprawiono za sparaliżowaną, poczęła się gorzej mieć, jakby konała. Skoro doktor przyszedł, rzekł: — Albo się choroba przesila, albo konanie następuje.—Po godzinie chora kazała się podnieść i zaraz, jak inna, przeszła się razy kilka po izbie. Odtąd codziennie lepiej się miała, aż zupełnie do mocy zdrowej przyszła. Zakonnice, bacząc taką odmianę, mówiły do siebie z radością: — Otóż to łaska cudowna Panienki Jasnogórskiej.“

R. 1705. Też zakonnice nadesłały do Wielebnego Przeora Jasnej-Góry pismo treści następującej:

„Przewielebny w Chrystusie Mości Dobrodzieju! Wszechmocnym a dziwnym sprawom Boskim i Matce Przenajświętszej Częstochowskiej chwałę i dzięki oddawszy, stawamy duchem na tem miejscu świętem, jako Jej obronie oddane i obronione od śmierci, podczas obłężenia mia-

sta Poznania roku przeszłego. Od wigilii Ś-iej Matki Teresy, dnia 14 października, aż do dnia 3 listopada, strzelano kulami ognistemi, więcej niż po 18 funtów w jednej, granatami, karkasami. Padało to o pół łokcia od nas i za nami, mimo głowy nasze przelatywało nad sto takich, a co z ręcznej broni to i bez liczby. Zaś z ulicy kule w klasztorne mury biły, dachy gruchotały i już zapalały, kominy ścinały, kraty żelazne kruszyły, okna, drzwi, piece rujnowały; stoliki nawet, obrazy i skrzynki na drobne wiórki poszły. Już nam ścianę przy miejskim murze obalono i trupami obłożono. Do celi chorej Przełożonej cztery kule z dział uderzyły, okno skruszyły i co było potrzaskały. Tylko w samym chórze miałyśmy uchronienie, że tam żadna kula nie wpadła, lubo zewnątrz mur postrzelany. Jedyna pociecha nasza była w Matce Miłosierdzia, Najświętszej Pannie obrazu częstochowskiego, że z nas żadna nie zginęła. A że Wielebna Matka nasza od ciężkiego nad wyraz paraliżu uzdrowioną za pomocą Najświętszej Panny była, teraz zaś znowu od przestrachu powtórnie w paraliż zapadła, prosimy, Nasz Dobrodzieju, o odprawienie Mszy Ś-iej przed wizerunkiem cudownym i Wielebnych Ojców wszystkich prosimy o jedno Zdrowaś Marya. Pisano w Poznaniu, w klasztorze naszym, dnia 22 czerwca 1705 r. Siostra Agnieszka od Pana Jezusa, Karmelitanka Bosa."

R 1706 uzdrowioną z paraliżu, za sprawą Lekarki Niebieskiej, została Elżbieta Dybowska, szlachcianka.

R. 1720. Zapisano w aktach klasztoru: „Bogu Najdobrotliwшему, Najwyższemu, Bogarodzicy Najświętszej Pannie Maryi, na Jasnej-Górze Cudotwornej. Ja, Marcin Śmietañski, kapelan u Ś-go Ducha w Proszowicach, zeznam słowem, wiarą i sumieniem kapłańskim, żem przed pięćmi roków ciężką chorobą, na kształt paraliżu, na rękę i nogę lewą złożony przez dwa roki, skorom uczynił ślub na Jasną-Górę do Najświętszej Panny udać się i chociaż tak schorowany, odważyłem się wyniść pieszo, a nie słuchając przyjaciół i lekarzów, jakom mógł, tak postępowałem, czołgając się. Dziwna rzecz! Na tejże drodze ozdrowiałem wcale i zdrów, tak na Jasną Górę, jako i z powrotem do domu przyszedłem. A że wówczas na Jasnej-Górze samemu Panu Bogu i Najświętszej Pannie podziękowawszy tylko, nie zeznałem tego, jak trzeba było, dlatego podobno znowu, terażniejszego roku 1720, w miesiącu wrześniu, nawiedził mnie Pan Bóg tąż co i przed tem niemocą, której szzerzenia się dalej nie czekając, obiecałem się znowu pieszo na Jasną-Górę do Najświętszej Panny, aby zeznać tam do ksiąg łaskę otrzymaną. Zarazem w domu ozdrowiał i tak zdrów przyszedłem pieszo na to miejsce święte, z dziękami i zeznaniem, które ręką własną podpisuję. Marcin Śmietañski, kapelan u Ś-go Ducha w Proszowicach."

Rozdział trzeci części szóstej zawiera przypadki uzdrowień z nieuleczalnej puchliny: r. 1689 Jakuba Kaniewskiego, szlachcica z pod Brześcia Litewskiego i Jakuba Kulinka.

W rozdziale czwartym tejże części zanotowane jest uzdrowienie z wielkiej choroby czteroletniego Józia, syna Dominika Franciszka Sierakowskiego, skarbnika gostyńskiego i małżonki jego, Teresy ze Słomczyńskich.

W rozdziale piątym tejże części czytamy:

R. 1671. Jaśnie Oświecony Kazimierz Floryan książę Czartoryski, biskup kujawski, zagrożony śmiercią przez chorobę kanienia, ocalał za sprawą łaski Najświętszej Panny. Zeznał to sam, ustnie, na Jasną-Górę przybywszy z podzięką, a spowiednik jego, Ojciec Maciej Orzewski, Jezuita, w aktach klasztoru ten wypadek opisał słowy: „Jaśnie Oświecony Jego Mość książę Kazimierz Floryan, książę na Klewaniu Czartoryski, biskup kujawski i pomorski, w Warszawie dnia 3 Maja roku Pańskiego 1671, bardzo niebezpiecznem na kamień zachorowaniem cierpiał ostre bardzo przez siedm dni rżnięcia i mękę. A gdy mu ciepłą wannę gotowano, dla zmiękczenia i ulżenia tych ciężkości, znać, że za powodem Najświętszej Panny, szlachcic, Stefan Kozerski, dworzanin książęcy nadszedł, który mając na sobie obrazek Najświętszej Panny Częstochowskiej, stanął z nim w oczach książęciu, umyślnie dając znać o pomocy i pamięci Najświętszej Panny. Pobudzony książę do nadziei zdrowia wzbudził w sobie afekt do Najświętszej Panny i prosił obecnych, jako to: Ojca Orzewskiego, Jezuitę, tegoż szlachcica Kozerskiego i innych, aby pokłękawszy, odmówili za niego Litanię do Najświętszej Panny i ofiarowali go na Jasną-Górę. On też sam, jak mógł, na łóżku pokłękawszy, pomagał im w tem. Cudowna i oczywista pomoc Najświętszej Panny! Zaledwie skończyli Litanię, zasnął smaczno, a potem, ocknąwszy się, nie czuł już dręczenia owego i ozdrowiał doskonale.“

W rozdziale szóstym tejże części zapisane są ocalenia od śmierci matek rodzących, a mianowicie: r. 1658 — Krystyny Dzianettowej; r. 1660 — Elżbiety Tarłowej, kasztelanowej przemyskiej; r. 1668 — Teofili z Ligęzów Zawadzkiej; r. 1672 — Jadwigi Nieradzkiej z Roźniakowic.

W rozdziale pierwszym części siódmej ks. Nieszporkowicz zapisał:

R. 1660 Najświętsza Panna przywróciła wzrok synaczkowi Jana i Doroty małżonków Jabłkowskich.

R. 1662 takież łaski dostąpił Krzysztof Witowski, szlachcic z pod Łęczycy, który przez półtora roku nie widział.

R. 1703 szlachcic Szyszkowski zeznał do akt klasztornych: „Ja, Paweł Stanisław Szyszkowski, zeznaję pod sumieniem, iż zapadłszy na oko prawe tak dalece, że wszystko zarosło było krwią i z oka jak jaje gołębie ciało czerwone nadrosło, a będąc niebezpiecznym, udałem się

z namowy jednego Ojca Jezuity do przyczyny Błogosławionego Stanisława Kaźmierczyka, w Krakowie, w kościele Bożego Ciała pochowanego, aby ten Patron wniósł za mną instancję do Najświętszej Panny Częstochowskiej. Przytem jednak, chcąc prędzej jeszcze ozdrowieć, kazałem małżonce swojej oko pewną wódką z apteki zakropić, ale mi to nie pomogło. Naprzykrzyło mi się to i myślałem: coby za okazyja tego? Aż przyszedłem do wniosku, żebym całem i statecznem sercem Matce Najświętszej oddał się i oka więcej nie lekował niczem. Wtedy dopiero codzień lepiej patrzyć począłem i widzę teraz dobrze. Za co niech będzie Matce Boskiej Częstochowskiej cześć i chwała po wszystkie wieki“.

W rozdziale drugim tejże części mamy uzdrowienia chorób ocznych, dokonane w kaplicy cudownego wizerunku:

R. 1654. Jędrzej Brzozowski, szlachcic z Płockiego, wskutek ciężkiej choroby ślepotą nawiedzony, udał się na Jasną-Górę, uważając, że tam jedynie ratunek dla wzroku znaleźć może. I znalazł. Skoro w kaplicy cudownego wizerunku upadł na kolana i modły do Najświętszej Panny wzniósł, zaraz przejrzał. Odtąd na oczy nigdy nie zapadał.

R. 1676. Paweł Oleski, kalwin z urodzenia, postradał oko w wojnie ze Szwedami. Przez lat dwadzieścia na to oko nie widział. Po upływie tego czasu nawrócił się, a katolikiem zostawszy, słysząc o łaskach, jakie spływają na wiernych z Jasnej-Góry, z kalectwem swoim tam się udał. Nie zawiódł się w spodziewaniach pobożnych. W kaplicy cudownego wizerunku przejrzał na oko, które lat dwadzieścia ślepotą zaślepiała.

R. 1702 Wawrzyniec Przybyłko, mieszczanin z Bytomia, stonawszy przed wizerunkiem Paniienki na Jasnej-Górze, pozbył się ślepoty, która przez rok cały świat mu zasłaniała.

(D. c. n.)



ŚWIĘCI PATRONOWIE I PATRONKI

opowieści religijne

zebrane przez

MICHAŁA SYNORADZKIEGO.

IX.

Jan z Dukli.

W opowieściach naszych często wspominamy o akademii krakowskiej, jako o macierzy, która wychowała cały zastęp znakomitych mężów, a pomiędzy nimi wielu Świętych Patronów. Jan z Dukli również był jej wychowancem, przeto nie od rzeczy będzie żywot tego Patrona poprzedzić wyjaśnieniem: skąd się wzięła owa akademia, kto ją ufundował, jakie było jej urządzenie? Wyjaśnienia pozwolą nam zrozumieć lepiej doniosłość zasług Wybrańców Bożych.

Przedewszystkiem zaznaczymy, że wiedzę, czyli oświatę właściwą, przynieśli do Polski pierwsi biskupi i kapłani. Ci pierwsi apostołowie wszyscy byli cudzoziemcami. dopiero z biegiem czasu wykształcili następców swoich z pomiędzy krajowców. W pierwszym stuleciu po zaprowadzeniu chrześcijaństwa, duchowieństwa mieliśmy bardzo mało. Szkoły istniały tylko przy katedrach biskupich i przy dworach książęcych. W końcu XII i w początku XIII stulecia zjawiają się parafie, wtedy też zaczęły powstawać szkoły parafialne. W Krakowie założył takie szkoły biskup Iwo Odrowąż.

Ale brak było nauczycieli krajowych. Arcybiskup gnieźnieński Pełka upominał w r. 1237 plebanów, żeby szkoły utrzymywali, oraz żeby nie brali do nich za nauczycieli Niemców, chyba biegłych w ję-

zyku polskim. W r. 1326 synod uniejowski zagroził klątwą tym, którzyby szkoły obsadzali nauczycielami cudzoziemcami. W wiekach XIII i XIV już spotykamy uczonych Polaków, lecz wiedzę swoją czerpali oni zagranicą. Tak na przykład, we Włoszech kształcili się z Polaków w XIII stuleciu: Ś-ty Jacek, który we wszechnicy bolońskiej uczył się prawa; późniejszy arcybiskup solnogradzki Władysław (brat księcia śląskiego Henryka III), który uczył się w Padwie; późniejszy archidya-
kon krakowski Mikołaj, który też w Padwie się uczył i był czas pe-
wien rektorem tamtejszej akademii; wreszcie Witelion, Ciołkiem prze-
zwany, który w Rzymie i w Padwie nauki matematyczne zgłębiał.

Polacy w owym czasie udawali się do Włoch celem nabycia zna-
jomości prawa, do Francyi zaś, aby się wydoskonalić w teologii i filo-
zofii, to jest w naukach duchownych. Pomiedzy innymi uczyli się we
Francyi: Ś-ty Stanisław ze Szczepanowa, Błogosławiony Wincenty, bi-
skup krakowski, jego następca Iwon, Konrad z Piastów śląskich, prze-
znaczony na biskupstwo bamberskie i Ś-ty Czesław. Ten ostatni nie
poprzestał na Paryżu, lecz kształcił się jeszcze we włoskiej Bolonii.

Oczywista, że tylko bogaci mogli szukać wiedzy tak daleko, a ileż
to trzeba było czasu poświęcić, ile mieć odwagi, żeby odbyć podróż do
odległych krajów i z powrotem, po fatalnych drogach, a raczej po
szlakach bezludnych, przeprawiać się przez rzeki i góry, gdzie czyhali
rozbójnicy.

Rosnąca w potęgę Polska potrzebowała koniecznie ludzi wykształ-
conych, którzy potrafiliby sprawować urzędy i sądy, oraz w języku ro-
dzimym umacniać wiarę i oświatę szerzyć; snadno tedy zrozumieć, że
trzeba było koniecznie ufundować w kraju taki zakład naukowy, który-
by takich ludzi kształcił. Jakoż tej potrzebie zaradził król Kazimierz
Wielki, fundując w r. 1364 wszechnicę krakowską.

Nadmienimy, że wszechnice czyli uniwersytety powstały w świe-
cie drogą samopomocy nauczających i uczących się, i dopiero później,
gdy zrozumiano ich wartość, królowie i Papieże otoczyli je opieką,
a ogół szacunkiem i uznaniem. W pierwszej połowie wieków średnich
nauka stała bardzo nisko, udzielały jej szkoły duchowne. Z biegiem
czasu dopiero zjawili się profesorowie we Włoszech i Francyi, którzy
zaczęli krzewić wiedzę, uprawianą niegdyś przez starożytnych Greków
i Rzymian. W zakres tej wiedzy wchodziła znajomość medycyny, to
jest sztuki lekarskiej, prawa i filozofii (filozofia zajmuje się rozważa-
niem najważniejszych zagadnień istnienia). Nauki te, z wyjątkiem
ostatniej wchodziły w skład nauk, udzielanych w szkołach klasztor-
nych i katedralnych. Rozgłos tej nowości przynęcał tysiące uczniów
i w taki oto sposób powstały wyższe zakłady naukowe, które z czasem

przetworzyły się na wszechnice (uniwersytety), w dzisiejszem znaczeniu tego wyrazu.

W XI stuleciu wystąpił w Salernie Konstantyn, jako profesor medycyny i utworzył wszechnicę salerneńską. W Bolonii Irneryusz i Gracyan założyli wszechnicę prawną. W Paryżu Abelard nauczał filozofii i teologii. Nieco później w Bolonii i w Paryżu profesorowie utworzyli stowarzyszenie, rodzaj bractwa lub cechu, rządzące się według ustawy własnej. Owe stowarzyszenia zatem nie były dziełem monarchów, lecz powstały z potrzeb duchowych ówczesnego społeczeństwa, z potrzeby połączenia się jednostek w celach naukowych. Władze z początku nie troszczyły się o te instytucje, nie wspierały ich pieniężnie. Wyjątek stanowi wszechnica w Neapolu, którą wyposażył w r. 1224 cesarz Fryderyk II. Za to miasta, zwłaszcza włoskie, ubiegały się o mężów uczonych, wabiły ich do siebie obietnicą znacznych pensyj, mając w tem na widoku korzyść własną, gdyż przez napływ miłośników nauki, podnosił się przemysł i handel. Z czasem monarchowie świeccy, idąc za przykładem cesarza Fryderyka V, zwanego Rudobrodym, który w r. 1158 nadał uczniom i profesorom bolońskim przywilej, zabezpieczający ich wolność i stanowiący o sądownictwie wszechnic, jak również za przykładem króla francuskiego Filipa Augusta, który w r. 1200 przywilejem podobnym wszechnicę paryską obdarzył, zaczęli otaczać wszechnice opieką. W r. 1180 Papież Aleksander III roztrząsał sprawy wszechnicy paryskiej, a w r. 1233 Papież Grzegorz IX ufundował wszechnicę w Tolozie. Wszechnice następnie dostały się pod ster Kościoła, na ich zakładanie udzielał pozwolenia Papież.

Z powyższej opowieści widzimy, że zakłady naukowe stanowiły pierwotnie ogół, połączenie się wszystkich uczniów lub nauczycieli. Połączenie to nazywało się po łacinie *universitas*, a stąd powstała nazwa dla tych zakładów naukowych uniwersytet, to jest wszechnica. Ponieważ zakłady te dostarczały wiedzy w zakresie najwyższym i ponieważ obejmowały wszystkie nauki: teologię, prawo, filozofię, medycynę, przeto nazwa ta jest słuszną. Tak więc przez wszechnice rozumiemy takie publiczne zakłady naukowe, w których profesorowie wykładają ogół umiejętności oraz udzielają najwyższych godności i zaszczytów naukowych.

Również z powiedzianego widzimy, że nazwa, dla wszechnicy, akademii jest niewłaściwą, chociaż jej dotychczas używamy, nie odpowiada bowiem istocie rzeczy. Akademia, to nazwa właściwa dla zakładu naukowego, uprawiającego pewną tylko gałąź nauk, na przykład słusznie mówimy: akademii górniczej, duchownej, sztuk pięknych; albo dla towarzystwa naukowego, to jest dla związku uczonych, utworzonego w celu popierania nauk, sztuk, piśmiennictwa i oświaty. Wszechnica,

będąc zakładem naukowym dla wszystkich nauk, jest niejako zbiorem akademij.

Urządzenie dawnych wszechnic odpowiadało sposobowi ich powstania. Tak na przykład, ponieważ w Bolonii wszechnica powstała przez stowarzyszenie się uczniów, więc uczniowie nią zarządzili. Nie było w tem nic dziwnego, bo uczniami tymi byli kardynałowie, biskupi, opaci, kanonicy i tym podobne powagi. Oni przeto wybierali corocznie profesorów, z pomiędzy mężów uczonych, a z pomiędzy siebie rektora i radę, utworzoną z przedstawicieli narodów, zwanych konsyliarzami. Na wszechnicy znów paryskiej wodzili rej profesorowie, a uczniowie byli od nich całkiem zależni. Lecz tu i tam uczniami przeważnie byli duchowni.

Pierwsze wszechnice nie dzieliły się na wydziały, inaczej fakultetami zwane, które dopiero powstały w XIII stuleciu, lecz na narody, według miejsca urodzenia uczniów. Wszechnica bolońska posiadała ośmnaście takich narodów, pomiędzy niemi i polski. Gmachów własnych pierwsze wszechnice nie posiadały; ich zgromadzenia walne, narady, odbywały się w kościołach, a profesorowie nauczali w swoich mieszkaniach. W Paryżu uniwersytet długo tułał się po klasztorach. Pierwsza Bolonia ufundowała dla wszechnicy gmach oddzielny. Zanim wszechnice otrzymały uposażenie własne, profesorów opłacali uczniowie.

Kazimierz Wielki, objąwszy rządy skołatanej długimi rządami Polski, zaprowadziwszy porządek i ład, te najpierwsze podstawy dobra, potęgi i rozwoju państwa, nie mógł nie zauważyć konieczności podniesienia oświaty i wykształcenia obywateli, którzy mogliby mądrze sprawować urzędy, sądy, pielęgnować naukę i kształcić z kolei następne pokolenia. Zwrócił się przeto do Papieża o pozwolenie utworzenia wszechnicy w Krakowie, a otrzymawszy je, ogłosił 12 lipca 1364 r. taki dokument:

„Ożywiony pragnieniem gorącym, żeby jak najwięcej pożytku i szczęścia ludzkiego przysporzyć, wiedząc, że wielkie korzyści dla naszych poddanych, duchownych i świeckich, to przyniesie: postanowiliśmy w naszym mieście Krakowie wskazać i wybrać miejsce odpowiednie, gdzieby od dnia dzisiejszego i na zawsze w późne wieki mogło istnieć nauczanie powszechne, obejmujące wszystką wiedzę. Oby nauczanie to stało się perłą światła potężnego, oby wydawało mężów, dojrzałością rady znakomitych, świetnościami cnót wszystkich zdobnych, w różnych wiedzy ludzkiej gałęziach biegłych. Oby tam wytrysło niewysychające źródło nauki, z którego mogliby czerpać wszyscy, wiedzy wyższej spragnieni.“

Dalej mądry ten i dobry król nakreślił w rysach ogólnych ustawę wszechnicy, składającą się z trzech części. W części pierwszej wyliczył prawa i ułatwienia, dla przybywających na naukę do Krakowa, uwolnił ich mianowicie od cła i opłat, jak również przysyłane dla nich zapasy żywności; zapewnił wynagrodzenie szkód w podróży poniesionych, jeśli zaszyły one w obrębie Polski; nadto obiecał wstawić się do książąt postronnych o wynagrodzenie szkód, na ich ziemiach poniesionych. Studentom osiadłym przyrzekł, że młynarze będą im mleć mąkę, a piekarze chleb wypiekać po cenach dla mieszczan praktykowanych; że mają pierwszeństwo do mieszkania, jakie wybiorą, a każdy inny mieszkaniec musi im ustąpić; że cenę mieszkań oznaczy 2 studentów i 2 mieszczan; że reperacye potrzebne w domu mogą sobie sami studenci zarządzić i w czynszu potrącić. W części drugiej ustawy oznajmiał król, że studenci zostają pod sądem rektora, którego, jak również profesorów, sami wybierać będą. W części trzeciej wyznaczył uposażenie wszechnicy, a mianowicie: 8 profesorów prawa (5 rzymskiego a 3 kanonicznego), z których 6 pobierać miało po 40 grzywien, a 2 po 20 grzywien; na wydział nauk wyzwolonych przeznaczył szkołę Najświętszej Panny Maryi z 10 grzywnami pensyi; dwaj mistrzowie fizyki i medycyny pobierać mieli po 10 grzywien. Teologii na razie nie było.

Dalej zamianował król dla studentów kampsora, to jest Żyda, który pieniądze wymieniał i pożyczał. Bankier ten powinien być mieć zawsze dostateczny zapas pieniędzy, żeby w razie potrzeby mógł wygodzić studentom, po złożeniu przez nich zastawu, z procentem nie większym nad grosz miesięcznie od każdej grzywny srebra.

Uposażenie wszechnicy zabezpieczył król na żupach wielickich, polecając żupnikowi, żeby cztery razy do roku przywoził pieniądze pensyjne.

Król Kazimierz urządzenie wszechnicy krakowskiej wzorował na Bolonii i Padwie, o czem sam w dokumencie wspomina słowy:

„Do Krakowa wszyscy, nietylko królestwa naszego i krajów przyległych mieszkańcy, lecz i inni, z rozmaitych krajów świata, niechaj wolno i bezpiecznie przybywają, dążąc do osiągnięcia perły wiedzy, którym wszystkim: rektorom, doktorom, szkolarzom (studentom), pisarzom, księgarzom i pedelom przyrzekamy być panem wspaniałomyślnym, utrzymywać ich, zabezpieczyć w przywilejach, prawach, wolnościach i zwyczajach wszelkich, jakich w Bolonii i w Padwie używają.“

Magistrat krakowski, to jest rajcowie i ławnicy, zapewnił również fundacyi królewskiej pomoc. Dokument odnośny opiewa:

„My, rajcy, ławnicy i przysiężni krakowscy, rektorowi wszechnicy, doktorom, magistrom, szkolarzom i wszystkim na naukę do Krakowa przybywającym, przyrzekamy wszystkie statuty i prawa, w Bolonii i Padwie zachowywane, wiecznie zachowywać, bronić je i strzedz; rektorowi do poskromienia opornych wiernie pomagać, wspierać go radą, pomocą i miłością.” Podpisali ten dokument: Jan stolnik sandomierski, Paccosius de Aperias, Mikołaj Wierzynek, Mikołaj Edling, Bertold Tartar, Jan Peterman, Pesco de Sale, Tyczko Opulor i Vlussiaus zwany Kazimier.

Obydwa akty, króla i magistratu, posłano Papieżowi Urbanowi V do Awignionu, Papież zaś one zatwierdził, nadmieniając w bulli:

„Gdy nam przedstawiono, że miasto Kraków od nauk powszechnych nazbyt jest odległe i że w Polsce niema wielu mężów biegłych w prawie i piśmie, a wielu z kleryków i szlachty, jadąc do wszechnic zagranicznych, zostało porwanych i w niewoli zatrzymanych; żywiąc gorącą chęć, aby Polska wzmogła się darami nauk; zważywszy dogodność tego miasta; dla zapobieżenia szkodom i niebezpieczeństwom płynącym z odległości wszechnic zagranicznych; zważywszy korzyści mieszkańców Polski i krajów sąsiednich: mocą naszą apostolską stanowimy, aby w mieście Krakowie była wszechnica i po wieczne czasy tam pozostała, krzewiąc znajomość prawa cywilnego i kanonicznego oraz każdej nauki dozwolonej, prócz teologii; aby mistrzowie (profesorowie) i studenci cieszyli się wszelkimi przywilejami, przysługującymi doktorom, profesorom i szkolarzom; aby ci, którzy uzyskają tam stopień naukowy, mieli wolność nauczania, udzielania godności doktorów i magistrów tak w Krakowie, jak również we wszystkich innych wszechnicach.”

Wszechnica Kazimierza Wielkiego nie zakwitła odrazu, bo dzieła takie potrzebują czasu, zanim wytworzą ogniska uczonych; muszą się starać o słynnych profesorów, którzy z kolei ściągaliby uczniów. Mieściła się ta wszechnica pierwotnie w szkole Najświętszej Panny Maryi, istniejącej już w XIII stuleciu, przy zbiegu ulic Stolarskiej i Małego Rynku. Król Kazimierz jednak zamierzył wznieść oddzielny gmach dla wszechnicy i zaczął go budować istotnie na przedmieściu Kazimierzu, około kościoła Ś-go Wawrzyńca, na części gruntów zwanych Bawołem. Budowy nie dokończył. Wszechnica wszakże istniała, lecz rozwijała się słabo.

W r. 1397, król Władysław Jagiełło i królowa Jadwiga czynią starania u Stolicy Apostolskiej o pozwolenie otwarcia we wszechnicy krakowskiej wydziału teologicznego i rzeczywiście w tymże roku Papież Bonifacy IX zezwala na to, w bulli zaś nadmienia:

„Gdy nam przedstawiono prośbę, z której wynika, że w mieście Krakowie, z postanowienia Stolicy Apostolskiej, oddawna była i jest wszechnica powszechna, z wykładem prawa i każdej dozwolonej nauki oprócz teologii, i gdy nas proszą z królewskiej strony, abyśmy w tem mieście uznali z łaski apostolskiej za potrzebne ustanowić także naukę teologii, przychylając się do tej prośby, mocą apostolską stanowimy, żeby w tem mieście odtąd i na przyszłe czasy odbywała się także nauka teologii, i żeby otrzymujący na tym wydziale stopień bakałarza, licencyata lub doktora teologii cieszyli się wszystkimi przywilejami, wolnościami i prawami, jakimi cieszą się ci, którzy stopień podobny w Paryżu otrzymują.”

W tymże samym roku królowa Jadwiga ufundowała w Pradze czeskiej wydział teologiczny dla Litwinów i uposażyła go dochodem 200 grzywien rocznie. Wydział miał dostarczać kapłanów świeżo nawróconej Litwie, gdyż dozwolony równocześnie przez Papieża wydział krakowski musiał być dopiero przygotowanym, to jest, musiano najprzód zebrać fundusze, zgromadzić profesorów, więc dopiero po latach można się było spodziewać promocyi teologów. W dokumencie fundacyi wydziału praskiego królowa Jadwiga nadmieniła:

„Spędziliśmy wiele nocy bezsennych myśląc, jakby ciemność pogaństwa litewskiego rozproszyć Słońcem Sprawiedliwości, Jezusem Chrystusem, jakby Winnica Pańska na tym nowym przyjęła się gruncie.”

Z tego, jak również z ostatniej woli królowej widzimy, że w tej pani szlachetnej znalazła wszechnica krakowska wspaniałą i mądrą protektorkę, że to ona wpłynęła na małżonka swego, Władysława Jagiełłę, iż zajął się dziełem Kazimierza Wielkiego i świetnie je odnowił.

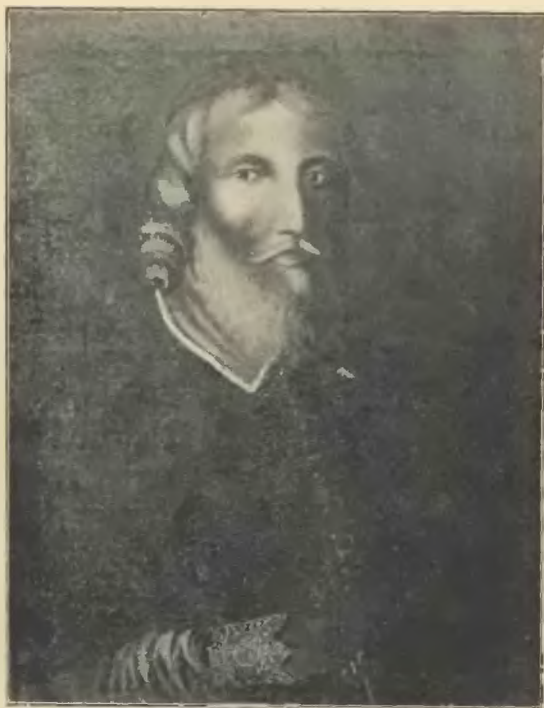
Przygotowania do odnowienia wszechnicy krakowskiej zajęły ostatnie lata Jadwigi. Umierając, przezacna i święta królowa większą część swoich kosztowności: klejnotów, złota i drogich kamieni, przeznaczyła na uposażenie wszechnicy. Władysław Jagiełło polecił kupić dom i place Stefana Pęcherza, znajdujące się przy ulicy Ś-tej Anny, na cele wszechnicy, a w rocznicę śmierci Jadwigi, 24 lipca 1400 r., nastąpiło uroczyste otwarcie tej odnowionej instytucyi. W obecności króla, dygnitarzy świeckich i duchownych, nowy rektor wszechnicy (nazywano ją też *kolegium*), Stanisław ze Skarbimierza, otworzył księgę wpisów, do której się zapisali: król Władysław Jagiełło, biskup krakowski Piotr, biskup włocławski Mikołaj, kasztelan krakowski Jan z Tenczyna, 12 prałatów, 28 proboszczów i 205 studentów. Tak znaczna liczba uczniów dowodzi, że pomiędzy nimi byli uczniowie dawnej wszechnicy.

We dwa dni potem, ogłosił król akt fundacyjny, w którym powtórzywszy dosłownie większą część dokumentu Kazimierza Wielkiego, dodał kilka nowych ustępów. Więc podczas gdy Kazimierz Wielki nadał wszechnicy krakowskiej te prawa, jakie posiadały wszechnice w Bolonii i w Padwie, gdy wybór rektora i profesora zostawił studentom: Jagiełło, wzorując się na wszechnicy paryskiej, stanowił, żeby na czele wszechnicy krakowskiej stał rektor, wybierany przez profesorów; biskupowi krakowskiemu przyznał obszerną władzę nadzorczą, wpływ na sądownictwo wszechnicy, na jej zarząd, rozdział pensyi i jej prebend. Na uposażenie wszechnicy wyznaczył 100 grzywien rocznie, zabezpieczonych na cle krakowskiem, więc mniej niż Kazimierz Wielki; natomiast przybyło uposażenie jej gmachem własnym.

Odtąd uposażenie wzrasta stale. Dodaje król profesorom dochód z kanonii Ś-go Floryana; biskup krakowski daje dochody jednej kanonii na zamku i kilku ołtarzy; niebawem też obdarza wszechnicę kilku księży i profesorów, a wdowa po Dymitrze z Goraja, Katarzyna, kasztelanowa krakowska, do domu Pęcherza dokupuje sąsiednie kamienice. Z biegiem czasu, profesorowie, biskupi, kanonicy, uczniowie i miłośnicy nauk obdarzali hojnie wszechnicę, rosła tedy w majątek ruchomy i nieruchomy.

Profesorowie wszechnicy tworzyli rodzaj stowarzyszenia, poniekąd zakonnego, a niebawem postarano się o zbiorowe pomieszczenia dla uczniów, urządzono tak zwane bursy, więc i uczniowie otrzymali statuty, które utworzyły z nich też pewnego rodzaju stowarzyszenie. Głównem siedliskiem wszechnicy był dom po Pęcherzach. Tam mieściło się tak zwane *kolegium większe*, wkrótce przez przykupna domów sąsiednich rozszerzone. W r. 1403 zakupiono od Jana z Rzeszowa przy ulicy Grodzkiej dom murowany, gdzie się mieściły wykłady prawne, a następnie i lekarskie, oraz mieszkania profesorów tych wydziałów. W r. 1441, kupiono znów, nieopodal od wydziału prawnego, dom dla wydziału medycznego który, niestety, w lat kilkanaście spłonął. W r. 1469 otworzono kolegium mniejsze. Kolegium większe, zwane także kolegium artystów, miało jedną wielką salę na piętrze dla teologów, 7 sal mniejszych na parterze dla filozofów, oraz pomieszczenie dla 11 profesorów teologii, dla 7 profesorów filozofii i na księgozbiór. W kolegium mniejszem, przeznaczonem na nauki przygotowawcze, mieszkało 6 do 14 profesorów.

Profesorowie medycyny, przeważnie żonaci, nie chcieli mieszkać, jak inni profesorowie, przeważnie księża, w kolegiach, dla tego po spaleniu się ich kolegium mieszkali prywatnie, a wykładali w kolegium większem.



Stefan Wierzbowski,

**ur. 1620 r., założyciel Góry-Kalwarii, administrator
diecezyi łuckiej od r. 1660 i referendarz wielki ko-
ronny, biskup poznański od r. 1665. prymas nomi-
nat od r. 1686, zmarł w r. 1687.**



Dawne nasze klasztory i świątynie.

Czersk i Góra-Kalwarya.

Dziś przestrzeń między Warszawą a Górą-Kalwaryą przez Piaseczno przebywa się kolejką: „Warszawa, Grójec, Góra-Kalwarya“ w przeciągu dwóch godzin, stamtąd zaś do Czerska, najętym jednokonnym wózkiem, bocznymi drożynami omijającymi piaszczysty szlak, jedzie się nie więcej nad pół godziny.

Piaseczno, osada miejska, nad rzeką Jeziornką, w powiecie warszawskim, ze swym starożytnym kościołem z wieżą drewnianą pośrodku, jaki taki ma wygląd przy wjeździe od strony Warszawy. Okazuje się nawet przedstawia zaraz na wstępie, należący do schronienia opuszczonych dziewcząt świętej Małgorzaty murowany piętrowy dom z kaplicą, już pod dachem blachą krytym, lecz jeszcze niewykończony wewnątrz, pod którego budowę założony został w dniu 20 czerwca 1904 r. kamień węgielny, przez J. E. Kazimierza Ruszkiewicza, biskupa sufragana warszawskiego poświęcony, w asystencji miejscowego proboszcza, ś. p. ks. kanonika Feliksa Matulewicza, oraz przybyłego na tę ceremonię duchowieństwa.

Schronienie świętej Małgorzaty, fundacyi senatorowej, Józefiny Rembelińskiej i hrabianki Ludwiki Morikoni, pomieszcza się dotychczas w drewnianym domu i liczy około 50 pensyonarek.¹⁾

¹⁾ Dzięki ofiarności J. E. biskupa Kazimierza Ruszkiewicza, ks. prałata Władysława Załuskowskiego, hr. Ludwika Morikoni, p. Stanisławowej Filipkowskiej, p. Laudynowej i innych osób, dom schronienia świętej Małgorzaty w Piasecznie, mogący pomieścić 100 pensyonarek, skończony kosztem rub. 3,600, poświęcony został 7 maja 1903 r. przez ks. prałata W. Załuskowskiego w obecności miejscowego proboszcza ks. Konstan-

Porządne są domy, w których mieszczą się szkoła, apteka, urząd pocztowy i sąd, urząd gminny, plebania i sprzedaż ogólnie chwalonych artykułów spożywczych, pochodzących z zakładu gospodarczego hrabianki Cecylii Plater Zyberkówny w Chyliczkach.

Piaseczno, książęca niegdyś wieś wśród obszernych lasów, w których rozlegał się odgłos myśliwskich rogów, gdy w nich polowali książęta mazowieccy, otrzymała przywilej miejski od Janusza (seniora) księcia mazowieckiego na Czersku i Warszawie w r. 1429. W lasach piaseczyńskich Anna Jagiellonka obrała sobie bezpieczniejsze schronienie w czasie morowego powietrza w innych stronach kraju, w lasach tych polował jeszcze na głuszcze (1736) August II, podejmowany przez Aleksandra Sułkowskiego, łowczego nadwornego koronnego i starostę piaseczyńskiego.

W ostatnich latach XIV wieku Piaseczno posiadało już kościół, uposażony (1448) z zapisu Anny, żony Bolesława IV, księcia mazowieckiego na Warszawie i Czersku. W teraźniejszym murowanym, parafialnym kościele pod wezwaniem Wszystkich Świętych, dawniej świętej Anny i świętego Macieja, zachowały się wprawdzie dwie ściany z poprzedniego, lecz od jak dawna, to nie można na pewno orzec, bo Piaseczno zniszczone (1656) przez Szwedów, ulegało i później pożarom, prawdopodobnie wraz z kościołem. Stosownie przeto do uszkodzenia, mógł być ten kościół na nowo stawianym lub przebudowanym z różnemi przekształceniami. Z zasłanych zmian ta jest widzialną, że główne wejście znajdowało się dawniej z przeciwnej strony. Za staraniem i kosztem Aleksandra Sałkowskiego, łowczego nadwornego koronnego w r. 1738, wzniesiono dach jednakowej wysokości nad całym kościołem, przybył wielki ołtarz z obrazem świętej Trójcy przez artystę-malarza—Szymona Czechowicza wykonany i w niszy ściiennej na zewnątrz, ustawiono kamienną figurę ś. go Jana Nepomucena. Arkadowanie wnęków szczytowej ściany na zewnątrz ponad wielkim ołtarzem, oraz sześć okrągłych podpór, z których cztery większych rozmiarów, znajdują się na czterech rogach kościoła, a dwie mniejsze po obu bokach kruchty, nieczęsto napotyka się. Tego rodzaju podpory w obrębie gubernii warszawskiej, posiada jeden tylko kościół służewski, w powiecie włocławskim. Pod figurą świętego Jana zauważyć można nadłamane żelaziwo, z tak

tęgo Pietrzykowskiego i wielu gości przybyłych na tę ceremonię z Warszawy. Jedynie także i ofiarność podtrzymuje i egzystencję pomienionego schronienia, bo jakkolwiek pozostające w niem pensyonarki, trudniąc się tkactwem, koszykarstwem, haftarstwem, pleceniem kapeluszy i t. p., przysparzają swą pracą zakładowi do rb. 1,500 rocznie, lecz wobec wydatków, które wynoszą rb. 1,700 na utrzymanie schronienia — to do cyfry zarobku, wypada jeszcze sporo dokładać co rok.

zwanej kuny pozostałe, do której przyczepiano niegdyś zasadzonych na pokutę kościelną. Pomimo różnych zmian, przy których dobudowano zapewne zakrystyę, skarpy i kruchtę, kościół piaseczyński z powodu niewprowadzenia doń innych niepotrzebnych dodatków, które zamiast zdobić, wytwarzają zazwyczaj rażącą dysharmonię, dotychczas zachował cechę starożytności.

Plebania w Piasecznie wybudowaną została w ostatnich latach XVIII stulecia, za ks. Melin'a, proboszcza w Piasecznie, brata Ludwiki, żony Ryxa, ówczesnego starosty piaseczyńskiego. Książki parafialne, zawierające szczegóły o chrztach, ślubach i zejściach datują się od r. 1760.

Kolejka, okrążając Piaseczno po za cmentarzem, obwiedzionym murem z trzech stron i od pola oparkanionym, a pod względem starannego utrzymania, mogącym służyć innym parafiom za przykład, jak należy uszanować miejsce wiecznego spoczynku, idzie dalej po szosie ku Górze-Kalwaryi.

W XIII więku miejscowość, na której powstała Góra-Kalwarya, znaną już była pod nazwą Góry. Jedną część Góry, zniszczonej w czasie wojennych zawichrzeń i opustoszałej wskutek morowej zarazy, nabył w r. 1666 Stefan Wierzbowski, biskup poznański od Mikołaja i Konstantego braci Górskich za 6000 zł. pol., dokupiwszy w następnym roku i drugą część tejże Góry od Anny z Cieciszewskich Niemierzyny, również za 6000 zł. pol. W roku 1676 uzyskał biskup Wierzbowski od króla Michała Korybuta przywilej miejski dla Góry, według którego nazywać się miała Nową Jerozolimą. Ta jednak nazwa nie utrzymała się i przemienioną została na Górę-Kalwaryę, od kaplic stacyjnych Męki Chrystusowej, kosztem biskupa Wierzbowskiego tamże wzniesionych, na wzór Kalwaryi w Jerozolimie.

Założyciel Góry-Kalwaryi, biskup Wierzbowski urodzony w Łasku r. 1620, synem był Mikołaja kasztelana inowłodzkiego. Obrawszy sobie stan duchowny, archidyakonem łuckim mianowany (1653), następnie administratorem dyecezyi łuckiej i referendarzem wielkim koronnym od roku 1660 będąc, biskupem poznańskim został w roku 1665. W złej i dobrej doli wierny królowi Janowi Kazimierzowi, z zebraniem przez siebie rycerstwem pospieszył mu na pomoc.

W ustawie fundacyjnej, zatwierdzonej 1672 roku przez sejm, nadawszy mieszkańcom Nowej Jerozolimy (Góry-Kalwaryi) korzystne przywileje, biskup Wierzbowski w dworcu, przy kościele świętego Krzyża, przez niego wzniesionym, najczęściej przebywał. Stronnik gorliwy króla Michała Korybuta, współorganizator konfederacyi pod Gołębim, nie był z tego powodu biskup Wierzbowski w łaskach u króla Jana III Sobieskiego i dopiero w roku 1686 za wdaniem się królowej i królewiczów, którzy biskupa serdecznie lubili, na arcybiskupa gnieźnieńskiego

otrzymał nominację od króla. Wkrótce potem życie zakończył 7 marca 1687 r. jako prymas nominat, niedoczekawszy się potwierdzenia z Rzymu.

O pobożnej działalności biskupa Wierzbowskiego świadczą dotychczas istniejące w Górze-Kalwaryi niektóre kościoły i kaplice, dzięki długoletniej zabiegliwości ś. p. ks. kanonika Jana Braulińskiego w należytych porządku utrzymane; a mianowicie:

1. Kościół pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny (po-Bernardyński) obecnie parafialny, fundacji Franciszka Biełlińskiego, marszałka wielkiego koronnego w stylu odrodzenia, według planu Jakóba Fontanne, architekta Augusta III, z muru wzniesiony. Odznacza się pięknym frontonem i odpowiednimi wszędzie wymiarami,



Kościół Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny (po-Bernardyński), obecnie parafialny w Górze-Kalwarii.

z zachowaniem artystycznej harmonii w wewnętrznej i zewnętrznej strukturze. W grobie zakonników pod tymże kościołem, kazał się pochować fundator, zmarły 8 października 1766 r. Trumna, w której spoczywa, oznaczona podobno jest literami F. B. M. W. K. (Franciszek Biełliński Marszałek Wielki Koronny). Po ukończeniu budowy kościoła i klasztoru, przedstawione sobie rachunki przez gwardyana OO. Bernardynów w Górze-Kalwaryi spalił zaraz marszałek bez przejrzenia z tem nadmienieniem, „że z Panem Bogiem nie chce wchodzić w szczegółowe rachunki“.

W prezbiterium pomienionego kościoła o 5-ciu ołtarzach, zawieszone są portrety Stefana Wierzbowskiego, prymasa - nominata, urodzo-

nego 1620 roku, zm. w roku 1687 i Franciszka Bielińskiego mar. wiel. koron. i Ludwiki Morsztynówny, podskarbianki wiel. koron. Za wielkim ołtarzem, w kaplicy pod chórem zakonny, w marmurowym sarkofagu o 3-ch kondygacjach, z ołtarzem do odprawiania Mszy świętej, w trumnie także marmurowej, złożone są Relikwie świętego Waleryana, sprowadzone z Rzymu 15 czerwca 1678 r. przez biskupa Wierzbowskiego. W tym to zapewne czasie, ziemia czerska poczęła czcić świętego Waleryana, jako obrońcę od morowej razy. W zakrystyi zwracają uwagę starodawne szafy, misternie wyłożone kwadracikami z różnego drzewa, o naturalnych odcieniach koloru, wykonane przez miejscowego zakonnika, którego nazwisko nie jest jednak wiadomem.

Na tem samem miejscu był już kościół parafialny w XIII wieku, pod wezwaniem Zwiastowania Najświętszej Panny, dla którego w roku 1252 Roguła II, herbu Łódzia, biskup poznański, potwierdził dziesięciny snopowe z Mniszewa, Niczczy i ze wsi Warszawicy, do Jana Warszawickiego natenczas należącej. Zniszczony przez Szwedów i kozaków w r. 1656, podźwignięty z ruiny przez biskupa Wierzbowskiego w r. 1670, oddany był OO. Bernardynom, pod tym warunkiem, aby opiekę mieli nad kaplicami stacyjnemi Męki Chrystusowej, oraz by odbywali nabożeństwo Drogi Krzyżowej. W drugiej połowie XVII wieku doszczętnie zgorzał ten kościół.

(D. c. n.)

A. Deboli.



Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.

*Dla umocnienia Twojego, Czytelniku, podajemy te pełne prawdy,
wielkie i święte przykłady stałości i bohaterstwa chrześcijańskiego.
Czytaj, rozważaj i wznos serce do Boga, źródła wszelkiego dobra
i szczęścia.*

A z y a: J a p o n i a.

Miło będzie Czytelnikom naszym dowiedzieć się, jak się zapatrywało przed ćwierć wiekiem i zapatruje dziennikarstwo japońskie na religię Chrystusową i jak się wyraźnie domaga wolności dla jej propagandy.

Nim jednak ogłosimy niektóre ustępy z dzienników japońskich, nie od rzeczy będzie wyrazić tu treściwie różnicę, jaka zachodzi między dwoma głównymi wyznaniami Japonii: syntoizmem i budaizmem.

Syntoizm, czyli tak zwana „cześć duchów,” jest najdawniejszą i można powiedzieć narodową religią Japonii, bo pomiędzy nazwiskami, jakie się zwykle dają temu krajowi, znachodzi się także nazwa *Shin-koku* to jest ojczyzna duchów. Bohaterowie Japonii z czasów bajecznych byli to duchy; liczbę ich podają Japończycy na ośm milionów. Pierwszy z nich był *Kuni-toko-taczi*. Ten po oddzieleniu ziemi od nieba pierwszy wyłonił się z nieforemnej jeszcze materii i był niejako pierwiastkiem życiodajnem istot ludzkich. Duchy ziemskie utworzyły się z czasem wskutek połączenia dwóch pierwiastków *In* i *Jo*, jak to można czytać w dziełach filozofów chińskich.

Twórcą syntoickiej religii jest Mikado, zaliczony przez mytologię japońską do duchów. Pamiętne są jeszcze słowa ministra spraw za-

granicznych Terachimy, wyrzeczone o nim w r. 1871 do przedstawicieli europejskich, kiedy chodziło o zawarcie traktatu handlowego z Japonią.

Gdy ci wstawiali się za chrześcijanami najokrutniej prześladowanymi, wtedy minister odpowiedział, że chrześcijanie są zawziętymi nieprzyjaciołmi państwa, albowiem nie chcą uznać Mikada za Boga.

Od tego czasu to bóstwo narodowe straciło wiele z dawnego swego uroku.

Syntoiści zachowują ledwie jeszcze pozory swojej religii. Mówiąc, że czczą swoje duchy w sposób czysto duchowy, nie chodzą nigdy do swo-



Japonia. Dawny lekarz japoński.

ich świątyń, nie objawiają żadnym znakiem zewnętrznym swojej czci religijnej, podobni w tem do wielu chrześcijan, którzy gardząc wszelką praktyką religijną, twierdzą szumnie, że czczą Boga tylko „w duchu i prawdzie.”

Są jednak między nimi i tacy, którzy do świątyń syntońskich uczęszczają, słuchają nauk bonzów i zachowują niektóre praktyki zewnętrzne, ale przez to jeszcze nie są moralniejszymi.

Właściwie mówiąc, zacieranie się praktyk syntoickich jest wielkiem dobrodziejstwem dla ludności, choćby tylko z pobudek czysto na-

turalnych. Ceremonie syntoickie mają w sobie tyle obrzydliwości, że gdy w roku 1870 odbywano po ulicach Jokohamy jakiś obchód religijny, posłowie zagraniczni wstawiali się do rządu, aby dla dobra publicznego podobny obrzęd był zniesiony.

Wyznanie budajskie, które nie jest właściwie systemem religijnym, ale tylko filozoficznym, pochodzi od Budy.

Buda, syn pewnego króla indyjskiego, urodzony jeszcze w VI wieku przed Chrystusem, obrzydziwszy sobie rozpustę, której się oddawał, miał następnie rozmyślać w samotności nad nędzą życia ludzkiego i w tem rozmyślaniu osiągnąć poznanie najwyższej doskonałości ludzkiej. Nauka jego, którą później ogłosił, pozornie tylko zbliża się w niektórych punktach do nauki chrześcijańskiej, ale w gruncie ogromna przepaść przedziela ją od niej. Według nauki Budy, celem życia jest oswobodzenie się od wszelkich nędz i cierpień przez pogardę uciech ziemskich.

Obowiązkiem człowieka jest oderwać się od świata i od wszelkich pociech zmysłowych. Człowiek, który tego nie czyni, po śmierci rodzi się ponownie, co dla niego jest tylko przedłużeniem nieszczęścia. Przeciwnie, jeśli zdoła panować duchem nad wszelkimi ponętami świata, po śmierci znika niepowrotnie i rozplywa się w nicości, co według Budy jest największym szczęściem.

Niema w tej religii żadnej mowy o Bogu, niema żadnej modlitwy, chociaż w praktyce przyjęto później niektóre bożyszcza. Mają budaiści mnóstwo klasztorów, gdzie tysiące bonzów i szczególnego rodzaju zakonników, rozmyśla filozoficznie nad znikomością świata i trapi swe ciało, ale duch nie unosi się do żadnego bóstwa i prócz nadziei rozplynienia się w nicestwie nie ma żadnej innej pociechy,

Budaizm, liczący około 500 milionów wyznawców, a więc najwięcej ze wszystkich dotąd istniejących wyznań, bardzo także rozpowszechniony w Japonii, dostał się tu w VI wieku z Korei, a uzyskawszy opiekę cesarską, rozszerzył się tak dalece, że po upływie ledwie 50 lat było tu już wiele świątyń i klasztorów budajskich. Kilku cesarzy nawet rzekło się prawa do tronu, aby mogli spędzić życie w klasztorze.

Syntoizm, mający także swoich zwolenników, jako narodowe wyznanie, stawiał opór budaizmowi, ale gubiąc się w mglistych pojęciach o duchach, jako przodkach Mikada, a ograniczając się do pewnych zewnętrznych form obrzędowych, nie sprostął przeciwnikowi, który przedstawiał pewną wyrobioną i na praktyce życia opartą doktrynę. Bonzowie budajscy dla zjednania sobie zwolenników pomiędzy Japończykami, oddawali także pewien rodzaj czci *kamisom*, czyli bogom syntoickim, a z czasem wzrosła w taką potęgę, że przed 300 laty, gdy wybuchło prześladowanie chrześcijan, rząd mianował ich urzędnikami cywil-

nymi i zobowiązał ich do robienia corocznego spisu ludności dla przekonania się, czy niema chrześcijan w kraju. Oni mieli prawo przewodniczenia pogrzebom, a każde pominięcie ich władzy było uważane za dowód wyznawania wiary chrześcijańskiej.

Ale gdy w r. 1868 nastąpiła restauracya dawnych tradycyji, stan rzeczy wziął inny obrót, budaizm ustąpić musiał syntoizmowi; wzbroniono mu używania bożków syntoickich, a z liczby tychże wyrzucono znowu budajskie posagi. Znaczyło to wydanie wojny bonzom budajskim. Ci jednak użyli zręcznie stanowiska swego do odwrócenia wymierzonych na ich wyznanie ciosów. Byli urzędnikami państwowymi, zatwierdzonymi przez cesarzy po złożeniu przysięgi wierności, a jako tacy, umieli wywierać wpływ swój na lud i zjednali sobie jego przychyłność.

Nie pobierając żadnej rządowej zapłaty, w łatwowierności wyznawców znaleźli źródło obfitych dochodów, a wpływ ich tak rozszerzyli, że choć oddawna już wysoko u rządu stojące osoby radeby zerwać z nimi, obawa zaburzeń powstrzymuje ich zamiary.

Religia chrześcijańska od lat szesnastu krzewi się na nowo w Japonii, można tam liczyć do 40,000 katolików, a 15,000 heretyków i schyzmatyków, rozypanych po całym kraju, którzy głosząc publicznie swoje zasady, osławiają z niemi ludność japońską. Bonzowie usiłowali wprowadzić powstrzymać tę działalność, jednak przyspieszyli raczej, niż powstrzymali ruch religijny. Dzienniki ogłaszały, że w Kioto, Gnichon, Kischon, Mino i wielu innych miejscowościach, bonzowie przybywali na konferencye z partyzantami uzbrojonymi, a ci na dany znak kamieniami obrzucali słuchaczy, co ogólne wywołało zgorszenie. Oskarżono władzę o spółnictwo w tych napaściach. Rząd wobec Europy nie mógł znieść podobnych zarzutów. To też w sierpniu zeszłego roku wydał postanowienie, którego cała doniosłość nie jest jeszcze dostatecznie ocenioną. Rząd zrzuca z siebie odpowiedzialność za bezprawia, których się dopuszcza narodowe kapłaństwo; nadaje pewien samorząd każdemu wyznaniu, liczącemu przynajmniej 37 członków, prawo rządzenia się według własnych przepisów i wybierania z pomiędzy siebie przełożonych czyli patryarchów, pod kontrolą wszakże ministra spraw wewnętrznych. Według litery prawa niema już religii państwowej, gdy jednak syntoizm jest religią samego władcy, urzędnicy obowiązani są do zachowywania pewnych syntoickich ceremonij.

Dziennik *Ipi Schimpo*, stanowczo oddawna przeciwny chrześcijaństwu, tak się w tej mierze wyraża:

„Jak ludzie, tak i zwierzęta, unikają zaczepki dla własnego bezpieczeństwa, stworzenia bezrozumne obdarzone są instynktem i barwą, zastosowaną do ich sposobu życia, a te osłaniają ich przed okiem nieprzyjaciół, czego dowodzą ptaki i dzikie po lasach kryjące się zwierzę-

ta, co zresztą dawno już wiedzą uczeni. Istoty rozumne dla zabezpieczenia się także, zmuszone są używać pewnych opiekuńczych barw, to jest pewnych praw społecznych, które osłaniają je przed ciekawością i krytyką postronną. Każdy, co pojedynczy występuje, naraża się na zarzuty. Nikt nie może zaprzeczyć wyższości cywilizacji ludów Europy i Ameryki nad Japończykami. Nietylko ich instytucje, ale nadto religia, obyczaje i zwyczaje przewyższają o wiele nasze. Ta wyższość cywilizacji jest barwą, odróżniającą ich od reszty ludów. Przyjście religii i obyczajów Zachodu jest zatem jedynym sposobem zbliżenia nas i zniesienia zapory, utrudniającej nasze stosunki i tamujące ich ku nam sympaty.

Mocarstwa europejskie związane są między sobą prawem międzynarodowym, ugruntowanym na zasadach chrześcijańskich, a cała ważność i skuteczność prawa tkwi w tem, że wszystkie cywilizowane państwa są chrześcijańskiego wyznania.

Jeżeli i my chcemy utrzymać nasze stosunki na mocy tego międzynarodowego prawa, trzeba nam koniecznie zrzucić z siebie cechę antychrześcijaństwa, a przybrać barwę, która nas do ogólnej społeczności przypisać może.

Niech nikt nie przypisuje tego zdania słabości. Lubo zazwyczaj nie słabsi silniejszym dyktują warunki, to jednak i najpotężniejsze państwo może być wykluczone ze społeczności innych, jeżeli przybiera charakter i obyczaje odmienne od reszty. Z tego to stanowiska wypada nam przyjąć religię powszechnie w Ameryce i Europie wyznawaną, wywierającą przeważny wpływ na sprawy i stosunki tych krajów i dzielić z nimi losy świata cywilizowanego. Naszem zdaniem, niema innego sposobu do uregulowania stanowczych dyplomatycznych stosunków z innemi krajami. Przyjęcie religii chrześcijańskiej postawi Japończyków na równi z zachodniemi ludami, dlatego też pragniemy, w interesie rządu naszego, aby sam uznał, że religia chrześcijańska jest religią Japończyków.

Może się kto zdziwi, że zdanie to wyjawiamy otwarcie, choć dawniej opieraliśmy się zaprowadzeniu chrześcijaństwa, lękając się, aby nie osłabił patriotyzmu naszego. Choć osobiście ani się do wyznawców Chrystusa, ani do wyznawców Budy nie liczymy, twierdzimy, że nasze dyplomatyczne stosunki na inne weszły tory. W niedalekiej przyszłości wolno będzie cudzoziemcom osiedlać się w całym naszym cesarstwie, stąd powstaną częstsze i ściślejsze ich z Japończykami zetknięcia, różnice zaś wyznań stanowiłyby zaporę ich rozwojowi, bądź dyplomatycznej, bądź społecznej natury.

Mogłoby się zdarzyć, że odmienność wyznania ściągnęłaby na nas lekceważenie, a może i wzgardę Zachodu, co i materyalne straty spro-

wadziłoby niechybnie. Dlatego też dzierżący u nas władzę winni pamiętać, że zgubną byłaby dla nas władza zachowawcza, a najpewniejszym środkiem utrzymania naszej potęgi, są korzyści, wypływające z otwarcia dobrowolnie kraju naszego dla wszystkich cudzoziemców. Nie należy obawiać się, aby przyjęcie wiary chrześcijańskiej miało osłabić miłość ojczyzny w ludności naszej.

Jak to wyżej powiedzieliśmy, duch chrześcijański przebija się we wszystkich stosunkach Zachodu, on to zaprowadził równość między ludźmi, on to zniósł niewolnictwo, o czym nie pomyśleli nigdy naj-



Japonia. Dawny nauczyciel japoński.

ślawniejsi filozofowie Grecyi i Rzymu, całe też prawodawstwo narodów cywilizowanych tchnie duchem chrześcijańskim, nasze zaś wypływało dotychczas jedynie z budaizmu i konfucjonizmu, a choć niewielkie między nimi zachodzą różnice, niemniej prawdą jest, że wzbraniając przystępu wierze chrześcijańskiej, odgraniczamy się od Europy. Zresztą napróżnobyśmy się opierali; nie zdołamy już powstrzymać rozwoju wiary tej w Japonii. Roztropniej zatem będzie zezwolić na jawną jej propagandę.

Widocznem jest także, że w obecnym stanie rzeczy religia chrześcijańska zakwitnie w Japonii, a budaizm zniknąć musi, nie sądzimy, aby to odrazu stać się mogło, ale tryumf chrześcijaństwa jest kwestyą czasu, a nastąpi niewątpliwie.

Żeby wyznanie jakie rozszerzać się mogło w Japonii, musi rozporządzać znacznymi materyalnemi środkami, musi być kierowane przez ludzi uczonych, cnotliwych i roztropnych, posiadających nadto prawne stanowisko. A nader ciekawą byłoby rzeczą przekonać się, w jakim stopniu kapłani chrześcijańscy i Bonzowie odpowiadają tym warunkom.

Co się tyczy materyalnych środków, jałmużny wiernych chrześcijan na cele rozkrzewiania wiary składane lub na wsparcie ubogich, przewyższają nieskończenie zasoby budystów, którzy pod względem bezinteresowności i wyrzeczenia się wszelkich osobistych celów porównania zgoła wytrzymać z chrześcijańskimi kapłanami nie mogą, gdyż chciwość budystów bywa najczęściej jedyną pobudką działań.

Budyści ograniczają się na opędzaniu kosztów utrzymania świątyni, a chrześcijanie ponoszą wielkie ofiary, aby największa liczba ludzi korzystać mogła z dobrodziejstw ich wyznania. Wszystkie ich instytucje miłosierne powstały jedynie z darów wiernych.

Co zaś do nauki budystów w porównaniu z nauką u chrześcijan, o ileż ci przewyższają pierwszych!... Kapłani chrześcijańscy są nauczycielami ludu, obowiązani są głosić światłem i nauką, a nasi bonzowie żyją w zupełnej niewiedzy. Wykształcenie księży chrześcijańskich jest bez porównania wyższe od reszty ludu. nikt bowiem w Europie i w Ameryce nie jest przypuszczony do stanu duchownego, póki nie złoży ścisłych egzaminów z rozmaitych a głębokich umiejętności. Japonia posiadała dawniej pewną liczbę uczonych bonzów, ale to już dawno minęło, dziś utracili wpływ, który zawdzięczali nauce.

Wyższość umysłowa chrześcijan pochodzi z postępu nauki i starć, które z religią wywołuje, to pobudza umysły ciekawe do badań i silnych w argumentacji zapasów. U nas syntoizm walczył z budyzmem, a ten nie mogąc odpiąć napaści, wolał przeczekać burzę, syntoizm podupadł z czasem, nie osłabiwszy jednak przeciwnika; co więcej, budaizm nie może ostać się wobec cywilizacji Zachodu; skrzepły od tylu wieków, zwolna ale nieustannie postępuje naprzód.

Tak samo rzecz się ma i co do moralności. Utrzymywano między nami, że jakkolwiek cudzoziemcy materyalnie są od nas wyżsi, moralnie my nad nimi górujemy. Tak nie jest, bo choć wszelkiego uszanowania godne są cnoty niektórych naszych bonzów, to o wiele liczniejsze składają dowody cnoty chrześcijanie. Czy nie widzimy, jak oni chętnie ciało i dusze własne poświęcają rozszerzaniu wiary, nie dbając na trudy i niebezpieczeństwa bez żadnych osobistych korzyści. A z dru-

giej strony, czy nie słyszymy ustawicznych skarg budaistów na zaniebdywanie obowiązków, na niemoralność i chęć używania świeckich rozkoszy bonzów. Są niewątpliwie występni ludzie także i pomiędzy chrześcijanami, jednak śmiało powiedzieć można, że misjonarze chrześcijańscy, poświęcający się nauczaniu ludu naszego, są wolni od wszelkiego zarzutu.

Wykazaliśmy już wyższość chrześcijaństwa nad budaizmem tak co do nauki, jak i co do moralności, w jednym tylko względzie ma budaizm przewagę, ma potęgę, którą mu wielowiekowe istnienie nadało. Tą potęgą, dzierzoną od wieków, jest nadanie kapłanom urzędowego charakteru i zapewnienie im bytu. Ale niech się wyznawcy jego mają na baczności? Kto wie, czy i ta zaporą nie runie przed chrześcijaństwem!... Wyobraźmy sobie bogatego właściciela, nieokrzesanego i oddanego rozpucie. Ten z czasem zrukuje się niechybnie, a jakkolwiek otaczało go wiekowe poszanowanie, musi nareszcie popaść w pogardę i poniewierkę u ludzi. Przypuśćmy nadto, że ten lichy bogacz ma sąsiada, niemającego wprawdzie starych rodowych dokumentów, ale pracowitego, uczciwego, zaskarbiającego sobie poważanie. Ktoregoż z tych dwóch ludzi wybierają na członka rady, albo na rzecznika w zawilej sprawie? Niezawodnie pracowitego, co dowodzi, że przewaga dawności nie zabezpiecza nienaruszalności bytu. Trzeba bowiem, aby stare przywileje wyższości ugruntowane były na podstawie obecnej nauki, mądrości i cnoty. Zbytecznem dodawać, że skoro budaizm zetknie się z chrześcijaństwem, runie niechybnie, bo nie ujął sobie serc ludności; nadto chrześcijaństwo ma i tę wyższość, że z łatwością stosuje się do narodów.

Jawnem więc się staje, że upadek budaizmu już nieunikniony. Zniknie wkrótce po kilkunwiekowej potędze i nie ostoi się wobec chrześcijaństwa, chybaby zaprowadził w sobie radykalne zmiany i przygotował broń zwycięską. Taki jest obecny ruch umysłów w Japonii i tak się nam przedstawia przyszłość."

Inny dziennik japoński *Haczi Szimbun* tak się wyraża:

"Zwrot ku chrześcijaństwu zaznacza się u nas coraz wybitniej i wywołuje popłoch w budaizmie. Kapłani budajscy i lud w zamęcie zbierają się na narady, szukają sposobów powstrzymania postępu wiary chrześcijańskiej. Donoszą nam właśnie o zaburzeniach, jakie zaszły z tego powodu w różnych miejscowościach; dotąd jednak nie wiadomo, kto je wywołuje. Posądzają o nie bonzów, ale byłaby to broń wielce dla nich szkodliwa; lepiej byłoby wykazywać zalety budaizmu, jak postępowaniem własnem dyskredytować jego urok.

Nie zastanawiając się nad drobnymi zajściami, które lepiej przemilczeć, rozpatrzmy się raczej, jaka przyszłość czeka rozmaite wyznania w Japonii.

Wyraziliśmy już otwarcie nasze zdanie, że należy oddzielić religię od polityki. Radośnie też witamy wiadomość, że rząd zamierza znieść urzędowe kapłaństwo, zostawiając patryarchom rozmaitych kultów religijne ich sprawy. Pomimo niedostatecznych jeszcze pod tym względem informacji naszych, mamy wszelką nadzieję, że wkrótce spełnią się nasze życzenia w tej mierze.

Krokiem naprzód na tej drodze będzie wolność pogrzebów, to jest wolność wezwania na ten obrządek kapłana jakiegokolwiek wyznania, a nie koniecznie budyjskiego lub syntoickiego, jak dotychczas prawo nakazywało. Każdemu wolno będzie kierować się według swojej woli, pod warunkiem zachowania przepisów administracyjnych w tej mierze.

Zamiary rządu nie są nam jeszcze dokładnie znane; sądzimy jednak, że żądaniom ogółu stanie się niebawem zadość. Czy petycje bonzów do rządu odpowiadają tym żądaniom, czy też wzywają go do tamowania rozwoju chrześcijaństwa w Japonii?—nie wiemy, ale gdyby tak istotnie było, nie mielibyśmy dość ostrych słów, aby zganić podobne zamiary.

Niedawno obcy misjonarze (protestancy) zaznaczyli swoje uwagi co do rewizji traktatów, wolno im, jak zwykłym podróżnikom, zdania swoje objawiać, jednak jako misjonarzom nie radzilibyśmy im poruszać tej sprawy, bo nie nasz własny interes, ale pewne ustępstwa dla propagandy swej wiary mają jedynie na celu. Korzystamy jednak z tej sposobności, aby im powiedzieć, że milczećby im przystawało, bo w żadnym kraju religii z polityką mieszać nie wolno. Obcy i swoi wiedzą dobrze, jakie rzeki krwi popłynęły trzysta lat temu, kiedy wpływom politycznym ulegali. Jak zatem nie możemy pochwalać politykujących misjonarzy, tak równie ganimy politykowanie bonzów, im to ośmielamy się dać następujące rady.

Nic dziwnego, kiedy kto ujmuje się za swoją własną sprawą, nic dziwnego też, jeżeli bonzowie całą siłą bronią swej wiary przeciw innym wyznaniom. Jednak trzeba używać do tego stosownej broni, należy szukać siły odpornej w sobie, a nie oglądać się za poparciem rządu. Jeżeli budaizm lepszym jest od wszelkiego innego wyznania, to ostatecznie zwyciężyć musi. Jeżeli zaś bonzowie upatrują w nim niedostatki, należy je usunąć; w każdym razie łatwiejsze ich zadanie, bo trudniej zdobywać twierdzę, niż jej bronić, szczególnież kiedy ją osłania jakaś wyższa opieka.

Nie do nas należy porównywać obie religie, musimy jednak zaznaczyć różnice między dawnym a obecnym budaizmem. W poprzednich artykułach wykazywaliśmy niski poziom moralny i umysłowy dzisiejszych bonzów, co zresztą i sami przyznają. Trzeba bonzom światła

i nauki, bez których mogą jeszcze rządzić masami nieoświeconego ludu, ale pozostaną bez wpływu na uczeńsze warstwy społeczeństwa.

Rzut oka wstecz na początki budaizmu wskazuje, jakim sposobem zdobył przewagę w Japonii i czem teraz odzyskać ją może. Dawniejsi bonzowie przewyższali wykształceniem resztę społeczeństwa, nauczaniem pozyskali poważanie u ludu i wyrobili sobie wpływ przeważny w wyższych klasach. Wprowadzenie przez nich podówczas (w III i IV wieku ery chrześcijańskiej) literatury chińskiej, która się w Japonii szybko przyjęła, upowszechniło także księgi Budy po chińsku pisane, a teorye filozoficzne w nich zawarte przyczyniły się również do rozwoju umysłowego, tak, że ich monastery stały się ogniskami nauk dla



Kochinchina. Wieś chrześcijańska Ba-Giong.

społeczeństwa naszego. Nadto cześć przywiązana do życia zakonnego obudziła w członkach najpierwszych rodzin w kraju żywą chęć wstąpienia do ich klasztorów. Najznakomitsze osobistości, nie znajdując odpowiedniego pola dla swej ambicji, szukały uspokojenia swego w religijnych i naukowych badaniach. Ztąd też najwyższe umysłowe zadania bywały rozbiegane w klasztorach i wywierały przeważny wpływ na sprawy kraju, a świadczą o tem wspaniałe świątynie i wielkie na klasztory czynione zapisy. Stan kapłański wzrastał w potęgę, rządził dowolnie umysłowemi i materyalnemi zasobami państwa; opierał się on nawet despotyzmowi wojskowemu, któremu inne stany ulegać musiały przez długie wieki.

Ostatecznie dwie rzeczy kraj zawdzięcza tym kapłanom, a mianowicie: poznanie rzeczy zapewniających życie wieczne i naukę praktyczną tego, co w doczesnem życiu pożytecznem być może.

Kiedy wyższe stany przyjęły naukę Konfucjusza, objawiła się w nich skłonność do odrzucenia niektórych zasad budaizmu, dotyczących się doczesnych warunków życia, przyjmując wszakże ślepo to wszystko, co się wieczności tyczyło. Godność i przywileje szlachty były dostępnymi tylko zasługom wielkiej waleczności. Samurai, którego ambicja nie miała granic, wstąpiwszy do zakonu, a oddając się tam nauce, zdobywał rozgłos w piśmiennictwie lub teologicznych pracach. Kapłani mieli przeto w swoim gronie wielu znakomitych ludzi i to nadawało wielkie znaczenie całej ich korporacyi. Od restauracyi 1868 r. rząd nie jeden cios wymierzył przeciw budaizmowi, pozwolenie jedzenia mięsa, wolność żenienia się spowodowały rozprzężenie w duchowieństwie, a co zatem idzie zmniejszyło poważanie u ludu. Zmiany zaszły w ogólnym sposobie życia sprawiły, że każdy myśląc o zaspokojeniu własnych a coraz liczniejszych potrzeb, mniej obficie składać może ofiary na świątynie, sprawia, że niedostatek daje się uczuć kapłanom Budy.

W tym to czasie chrześcijaństwo, pojawiając się w Japonii, zaczęło się rozszerzać tak szybko, że przerażeni bonzowie nie wiedzieli, jakich chwycić się środków obrony.

Chrześcijaństwo w Japonii nie od wczoraj się datuje; trzysta lat temu liczyło wyznawców we wszystkich naszych prowincjach. Rząd ówczesny, obawiając się zaburzeń wewnętrznych, zabronił wyznania chrześcijańskiego, a co nam z boleścią wyznać przychodzi, wymordowano 300,000 chrześcijan w Japonii. Po tych okrucieństwach przez całe 300 lat cudzoziemcy nie mieli przystępu do naszego państwa i to trwało aż do ostatnich czasów. Ale nowy rząd świeże z innemi państwami zawiązał stosunki; korzystając z udzielonego zwolnienia obywateli, chrześcijaństwo znowu pojawiło się pośród nas i nie można zaprzeczyć, że licznych ma już zwolenników.“

Zbytecznem byłoby przytaczać więcej wyjątków z dzienników, te już wystarczą dla osądzenia opinii publicznej w Japonii co do kwestyj religijnych. Cała prasa stwierdza, że budaizm nie ostoi się tam przed żywotnością chrześcijaństwa.

Kochinchina.

Po tem wszystkiem, co się dotąd mówiło o dziejach męczeńskich w Tonkinie, pragniemy umieścić tu jeszcze jeden szczególny ustęp z dzie-

jów Kochinchiny, tak jak go nam przedstawia w swoim opowiadaniu misyonarz o. Hamon. Posłuży on do lepszego uwydatnienia całej grozy dzieła prześladowców, a bardziej jeszcze do ocenienia heroizmu chrześcijan Anamitów, poświęcających wszystko dla najdroższego skarbu wiary świętej. Treść czerpiemy z „Misji Katolickich.”

W prowincyi Mytho, w północno-zachodnim kierunku od Sajgonu, leży w bagnistej okolicy wieś Ba-Giong. Składają się na nią biedne, słomą pokryte lepianki, zamieszkałe przez lud rolniczy, ubogi w dary doczesne, ale bogaty w klejnoty niebieskie. Wznosące się między nimi zabudowanie większych rozmiarów, ozdobione krzyżem, świadczy, że to jest gmina chrześcijańska.

Rzeczywiście wszyscy mieszkańcy tej wsi w r. 1861 byli bez wyjątku chrześcijanami, szczerze przywiązanymi do wiary świętej. W cichem swem ustroniu oddawna żyli spokojnie. Oddani pracy i pobożności, nikomu się nie naprzykrzali, ale i ich w ciągu długoletnich prześladowań, skutkiem cudownej opieki Bożej, zostawiono w spokoju. Atoli w r. 1861 dotkliwie zaciężyły i na nich srogie wyroki Tu-Duka. Wnet zamordowano czcigodnego ich proboszcza Liu, a około stu spółmieszkańców uwięzionych czekało w mieście Mytho wyroku śmierci. Francuzi, zajmwszy to miasto prawie bez wystrzału, wypuścili chrześcijan na wolność. Powrót ich do Ba-Giong sprawił tam niesłychaną radość. Zebrali się wszyscy mieszkańcy wsi do kościoła, aby dziękować Bogu, że raczył już położyć kres srogiemu prześladowaniu.

Wyszedł też wtedy z ukrycia jeden z kapłanów, ks. Tho, aby z wiernymi podzielić spólną ich radość, i nie poprzestając na jednorazowej modlitwie, przez trzy dni odprawiał z nimi nabożeństwo dziękczynne, połączone z naukami misyjnymi. Wszyscy prawie przystąpili do Stołu Pańskiego, nie przewidując wcale, że ta komunია święta miała być dla wielu z nich ostatnią w życiu i wjatykiem na drogę do wieczności.

Po zajęciu przez Francuzów miasta, mandaryni z wojskiem rozbiegli się po całej okolicy, o niczem innem nie myśląc, jak tylko o mordowaniu chrześcijan. Nie czując bowiem odwagi w sobie, aby stawić czoło Francuzom, chcieli na bezbronnej i spokojnej ludności chrześcijańskiej pomścić się za doznaną klęskę. W tym celu odbyli najprzód w nocy potajemną radę, na której oznaczyli wszystkie te wsie chrześcijańskie, które mieli zniszczyć, a oraz obmyślili i sposób, w jaki mieli uskutecznić niecny swój zamiar. Postanowiono tam między innemi wyciąć w pień wszystkich chrześcijan w Ba-Giong. Aby zaś żaden z nich nie umknął, miano wykonać ten zamiar zaraz w następnej nocy, a do tego czasu ukrywać wszystko w ścisłej tajemnicy. Zdawało się,

że plan zręcznie obmyślony nie chybi celu swego, i że wszyscy chrześcijanie co do jednego wymordowani zostaną.

Atoli tajemnicy ukryć nie zdołano.

Pewien poczciwy poganin, litując się nad nieszczęśliwymi, uwiadomił ich o tem, co ich spotkać miało, ale uwiadomił zapóźno. Chrześcijanie przerażeni ledwie mieli czas ratować się ucieczką, a choćby i mieli, nie było sposobu. Bo gdzież tu uciekać?

Dokoła były same wsie pogańskie, a nadto porozstawiane wszędzie straże i oddziały wojska zwracały baczną uwagę na wieś nieszczęśliwą. Niektórzy spróbowali przedrzeć się potajemnie przez obręcz rozstawionej straży, ale niebawem wpadli w ręce nieprzyjaciół i na miejscu porażani zostali.

Z jednej tylko strony ucieczka zdawała się jeszcze być możliwą, to jest od strony jeziora. Mandaryni bowiem nie przepuszczali wcale, aby się chrześcijanie mieli przeprawiać przez to jezioro, o którym wiedzieli, że było zbyt trudne do przebycia z powodu bardzo mulistego gruntu; to też koło brzegów żadnego nie ustawili wojska. Chrześcijanie obrali tę jedyną, jaka im pozostała, drogę. Wziąwszy ze sobą dzieci i to wszystko, co jeszcze z mienia swego na prędce zabrać mogli, upadli na kolana przed kościołem swoim, pomodlili się gorąco, aby ich Bóg raczył ochronić od śmierci, albo jeżeliby żądał od nich ofiary męczeńskiej, utwierdził ich łaską swoją, aby żaden z nich nie wyparł się wiary. Po tej krótkiej modlitwie zwrócili się jeszcze do przyległego cmentarza, całowali tę świętą ziemię, gdzie spoczywały drogie szczątki ich krewnych i prosili dusze wiernych o wstawienie się za nimi do Boga.

Nagle rozległ się okrzyk:

— Wojsko zbliża się do wsi!

Nie było czasu do stracenia. Ojcowie i matki biorą swe dzieci na ramiona i wszyscy rzucają się w wodę i przeprawiają, jak mogą najspieszniej, przez jezioro, chcąc jeszcze przed wschodem księżyca ukryć się przed wojskiem. Była to wielce przykra przeprawa, osobliwie dla słabych i chorych, którzy wśród gęstego mułu ledwie postępować mogli. Wszyscy wspierali się jak mogli wzajemnie. Ciemność nocy utrudniała ucieczkę, przynajmniej jednak osłaniała uciekających przed okiem prześladowców. Ale oto ukazuje się już księżyc na niebie, za wcześniej niestety, i blade swe światło rozpościera po powierzchni wody. Straże zbliżywszy się do wsi, spostrzegają wkrótce wielkie pustki w domach, a oglądając się dokoła, widzą zdala gromadę uciekających przez jezioro chrześcijan. Żołnierze i zgraja siepaczy pędzą za nimi, jak mogą najspieszniej, jedni brną w wodę, drudzy gromadzą łodzie, aby wyprzedziwszy chrześcijan, przeciąć im drogę.

Jęki żałosne rozlegają się pośród uciekających. Wszyscy przyśpieszają kroku, ale dzieci i chorzy utrudniają im pośpiech, a coraz to bliżej nastawają nieprzyjaciele. Wreszcie rozprasza się gromada; kto jeszcze ma trochę siły, szuka ratunku w jak najprędzej ucieczce. Niebawem słabi, dzieci i niewiasty, tudzież dwudziestu pięciu mężów zdrowych, którzy nie chcieli swoich żon i dzieci opuścić, wpadli w ręce złoczyńców. Zawleczono ich do najbliższego miasteczka Kiu-czi i oddano na razie pod straż uzbrojonego żołdactwa.

Była to noc najokropniejsza dla tych nieszczęśliwych ofiar.



Kochinchina. Ucieczka chrześcijan z Ba-Giong przed wojskiem prześladowców.

Złamani trudem i już ledwie żywi, leżeli bezwładnie na gołej ziemi na placu publicznym. Złośliwi siepacze znęcali się nad nimi w sposób brutalny, miotali na nich bez ustanku wszelkie plugawe obelgi, szarpali ich i bili niemiłosiernie. Z krzykami wyuzdanej tłuszczy mieszały się jęki matek, płacz i kwilenie niemowląt, a księżyc smutno przyświecał tej okropnej scenie. Rozpacz poczęła ogarniać nieszczęśliwych, wkrótce atoli wiara pokonała naturę. Nie trwożyła ich już śmierć nieunikniona, ale myśleli jedynie o tem, aby się na śmierć godnie przygotować. Zamiast rozwodzić jęki daremne, modlili się gorąco i zachęcali się wzajemnie do odwagi i wytrwałości w wyznawaniu wiary.

Z brzaskiem dnia brzęk tamtamów zwiastował przybycie mandarynów. Na placu, gdzie strzeżono pojmanych chrześcijan, stało wielkie poddasze, oparte na słupach, gdzie się zwykle odbywały posiedzenia gminne. Tu mandaryni zasiedli do sądu. Obok nich stało na straży czterech żołnierzy, przed nimi zaś dziesięciu siepaczy z ogromnymi mieczami, gotowych do spełnienia wyroku. Na ziemi przed trybunałem leżały sznury, różgi i inne narzędzia katuszy, a wreszcie krucyfiks i obraz Matki Boskiej, które miano deptać. Niewiasty i dzieci ustawiono opodal placu wyroku i otoczono szeregiem uzbrojonych żołnierzy; tuż przed sędziami stało 25 mężczyzn, którzy wszyscy byli już w wieku podeszłym, z wyjątkiem jednego 16-letniego młodzieńca. Z boku, po prawej stronie trybunału, przypatrywała się srogiemu widowisku ciekawa gawiedź pogan.

Krótki był proces sądowy.

Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy pojmani byli chrześcijanami; sami to otwarcie wyznawali. Do tego usiłowali ratować się ucieczką przed władzą. A więc wobec sądu anamickiego jawna była ich wina. Mandaryni jednak chcieli się okazać wspaniałomyślnymi i gotowi byli od wszelkiej uwolnić ich kary, byle tylko wyparli się wiary i podeptali wizerunek Ukrzyżowanego. Oświadczył to naczelny sędzia najprzód dwudziestu pięciu chrześcijanom, którzy przed niewiastami mieli być sądzeni. Odpowiedź ich była godną bohaterów Chrystusowych:

— Mielibyśmy deptać krzyż, znamię zbawienia naszego? Nigdy, przynigdy! Raczej śmierć, niż takie odstępstwo!

Mandaryn, zapalony gniewem, daje znak siepaczom. Na głos tamtamu jęk przeraźliwy rozlega się pośród gromady niewiast i dzieci. Niebawem miecz katowski wykonywa wyrok; dwadzieścia pięć głów wyznawców Chrystusowych upada na ziemię, a strumienie krwi płyną ze stosu ciał zabitych aż do stóp niewiast, opłakujących śmierć swoich mężów i ojców.

Następnie sędzia zwraca się do niewiast, które spodziewał się zastraszyć tą krwawą sceną.

— Deptajcie krzyż, jeżeli nie chcecie ginąć tą samą śmiercią!

— O, nie! nie zrobimy tego nigdy! — wołają, — chcemy umrzeć tak, jak mężowie i ojcowie nasi!

Mandaryn w spotęgowanem poruszeniu gniewu chce już przystąpić do wykonania wyroku, gdy nagle wzruszeni widzowie przerywają mu słowa głośnym wyrazem spółczucia:

— Litości! litości! — wołają wszyscy; a gdzieniegdzie poganie przeciskają się nawet przez szeregi ustawionych żołnierzy, aby dobitniej wyrazić swą prośbę. Głosem „tamtamu” stara się rozwścieklony sędzia przywrócić porządek i woła ponownie z wyuzdaną dzikością:

— Psy chrześcijańskie, albo krzyż deptać, albo natychmiast umierać! Wybierajcie!

— Umrzeć, umrzeć wolimy! — wołają niewiasty.

— Umrzeć za Chrystusa! — wołają dzieci za przykładem matek.

Jednak cztery kobiety, do których przyłączyła się 18-letnia dziewczyna, drżąc i ze spuszczonej obliczem, postępują z wolna przez potoki krwi do krzyża i obrazu Matki Bożej; wahają się, walczą ze sobą; nie mogą się odważyć na zbrodnię, przed którą serce się wzdryga.

— Chcecie więc zginać? — pyta mandaryn. — A jednak żąda się od was tylko tak małej rzeczy. Stąpcie tylko po tym kawałku drzewa, a daruję wam życie, wrócę wam dom i mienie wasze i puszcze was na wolność.



Kichinchina. Pojmani chrześcijanie giną śmiercią męczeńską.

Jedna rzeczywiście skoczyła na krzyż, a i inne poszły za jej przykładem. Ale ledwie ten krok zrobiły, ogarnął je wstyd, żal ścisnął ich serca, podczas gdy wszystkie ich towarzyszki naraz upadły na kolana i złożwszy ręce, a wzniosłszy oczy do nieba, wołały błagalnym głosem:

— Boże miłosierny, wybacź im ten grzech!

— Cóżś zrobiła, córko moja? — zapytała się jedna z matek, przeciskając się ku niej przez tłum.

Córka, płacząc rzewnie, rzuciła się jej do nóg; daremnie żołnierze starali się oderwać ją od matki. Dziewczyna odepchnęła ich, uchwyciła krzyż i wizerunek Matki Boskiej i rzekła do towarzyszek swoich:

— Wyście mnie do grzechu przywiodły, teraz czyńcie razem ze mną pokutę!

I podniósłszy ze czią krucyfiks krwią zbрызgany, rzewnie płacząc, składała hołd uwielbienia Bogu Zbawicielowi. Wszyscy chrześcijanie jednocześnie padli na kolana i wśród łez i głośniejszej a rzewniejszej modlitwy wyznawały Chrystusa i Jego Matkę Najświętszą. Cztery nieszczęśliwe kobiety w nadmiarze żalu zanosili się od płaczu, błagając Boga o miłosierdzie, a chcąc dać jawny dowód, że potępiają swój nieczyny czyn odstępstwa, wyszły przed mandaryna i siepaczy, i rzekły:

— Zgrzeszyliśmy! Musimy więc pierwsze teraz śmierć ponieść za Chrystusa. Oto macie szyje nasze, uderzcie w nie mieczem!

— I my wszystkie chcemy umrzeć za Chrystusa!—wołało całe gromno niewiast.

W tej jednej chwili doszło już spólcucie pogan do najwyższego stopnia. Z oburzeniem potępiali okrucieństwo mandarynów i wołali:

— Cześć niewiastom chrześcijańskim! Wstyd i hańba okrutnikom, którzy niewinne mordują!

Może te odważne i jednoznaczne przemówienia ludu pogańskiego zatrwożyły sędziów, a może też i samo rzewne widowisko wzruszyło ich serca.

Główny mandaryn kazał się uciszyć i po chwili wydał następujący wyrok:

— „Nie było to naszym zamiarem zmasać ręce nasze krwią niewiast i dzieci. Chciałem tylko skłonić je, aby przynajmniej pozornie wyparły się swojej wiary. Ponieważ jednak tego uczynić nie chcą i tak twardo trzymają się swojej nauki, niech sobie idą w pokój. Kto by je znieważył, będzie za to karany. Taka jest wola wielkiego mandaryna i biada temu, kto by się jej sprzeciwił.”

Ocalały niewiasty, ale nie było im wolno powrócić do swojej wioski, lecz musiały się rozprószyć po kraju. Niektóre udały się do Mytho, chroniąc się pod opiekę Francji. Atoli nie pozostały tam długo; nie mogąc sobie tamże zarobić na życie, błąkały się w nędzy od wsi do wsi i nie jedna z nich z głodu umarła. Niektóre osiedliły się nad brzegiem morza, gdzie jakkolwiek utrzymywały się z rybołówstwa.

Dopiero po 18-tu miesiącach, kiedy skutkiem zawartego (1862) pokoju, zajęła Francja w posiadanie niższą Kochinchinę i Kambodżę, zdołały resztki nieszczęśliwych ofiar powrócić do swojej ojcowizny. Tak niewiasty, jak i mężczyźni zgromadzili się znowu w Ba-Giongu, ale była to już zaledwie tylko połowa pierwotnej ludności. Cała wieś leżała w ruinach, kościół zburzony do szczytu, chaty połamane albo powalone, ogrody i sady poniszczone. Trzeba było dopiero ścinać bambusy na budowę nowych domów i na nowo uprawiać rolę. Biedakom dolegało wielkie ubóstwo; mimo to jednak czuli się szczęśliwymi, że mogli powrócić do miejsca swego urodzenia i do grobów ojców swoich. W tym

kraju bowiem nic tak nie przywiązuje ludzi do ojczystej zagrody, jak pamięć na zmarłych członków rodziny, nic tak nie dręczy wygnańca, jak ta myśl, że żyje w oddaleniu od rodzinnego cmentarza.

Po okropnej rzezi w Kiu-cze ciała zamordowanych pozostały na rynku aż do zmroku. Wtedy na rozkaz mandaryna pogrzebano je w kilku wspólnych grobach opodal miasteczka, około drogi publicznej. Tam długie lata czekać musiały na chrześcijański pogrzeb. Dopiero o. Harmon, któremu to opowiadanie zawdzięczamy, przybywszy w r. 1872 do Ba-Giong, zdołał spełnić życzenia miejscowych chrześcijan, którzy od dawna gorąco pragnęli oddać cześć należną kościom męczenników swoich. Wyrobiwszy sobie u swego biskupa potrzebne na to zezwolenie,



Kocinchina. Chrześcijanie grzebią uroczystie kości swoich męczenników.

udał się do mieszkańców miasteczka Kiu-cze, którzy, lubo poganie, okazali szczerą życzliwość chrześcijańskiej ludności. Ci udzielili chętnie misjonarzowi wszelkich wiadomości i wskazówek, dotyczących się miejsca, gdzie spoczywały czcigodne szczątki męczenników. Rozkopano groby i znaleziono w nich rzeczywiście 21 ludzkich szkieletów; brakło tylko czterech, których mimo wielkiej usilności nie można było odszukać, jak się zdaje jedynie z tego powodu, że grabarze, według opowiadania miejscowych pogan, kilka ciał niedbale zakopali, a raczej tylko lekko ziemią zasypali, a tym sposobem na pastwę żarłocznych zwierząt wystawili. W braku czci ludzkiej odda im za to pewnie Bóg Zbawiciel należną chwałę w dniu zmartwychwstania ciał ludzkich.

Dnia 28 czerwca 1872 r., cała wieś Ba-Giong była w uroczystym nastroju. Kościół, niedawno odbudowany, jaśniał w najokazalszej świątecznej ozdobie. Nie mógł jednak pomieścić pobożnych tłumów ludzi, którzy z dalekich nawet stron na uroczystość uczczenia świętych relikwii przybyli. W procesyi sprowadzono je z Kiu-cze do Ba-Giong. Na czele pochodu jaśniał krzyż wspianały, za nim postępowali trzej misjonarze, potem kolejno niosło czterech ludzi po jednej trumnie, a wszystkich trumien było dwadzieścia i jedna. Przed każdą z nich szło dziecko z tabliczką drewnianą, na której pod krzyżem było wypisane imię i nazwisko zmarłego, tudzież dzień i przyczyna śmierci. Mnóstwo pogan wzięło udział w pogrzebie i w poważnem milczeniu przypatrywało się ceremonii pogrzebowej. W kościele odbyło się bardzo uroczyste nabożeństwo żałobne, poczem złożono na cmentarzu miejscowym te święte szczątki, które ludność chrześcijańska dotąd za drogocenny skarb swój poczytuje, spodziewając się, że stolica święta uczci męczenników z Ba-Giongu mianem błogosławionych.

Gdy po wzięciu Turanu prześladowanie przebrało wszelką miarę, biskup Lefebvre ukrywał się niedaleko Sajgonu, w osadzie chrześcijańskiej Thi-ngu, a gdy i tam jego kryjówka została wykrytą, ukrył się w polach ryżowych u podnóża fortu południowego. Popłoch był tak ogólny, a poszukiwania robiono tak usilnie, że pomimo wszelkiego poświęcenia chrześcijan biedny dostojnik nie znalazł ani jednego domu, w którymby się mógł bezpiecznie ukrywać. Wtem nagle w pierwszych dniach stycznia 1859 roku rozeszła się pogłoska, że statki francuskie bombardowały forty ś-go Jakóba, że zdobyły Dong-ny i idą na Sajgon. Dla mandarynów, również jak chrześcijan, była to chwila wielkiego niepokoju. W więzieniach Sajgonu znajdował się wtenczas młody ksiądz anamicki, wielkich nadziei, Paweł Lok, przyaresztowany w Cho-quan, 13 grudnia 1858 r. Proces jego nie miał jeszcze sankcyi królewskiej, przeto mandaryni z własnej woli przyspieszyli egzekucyę i 13 lutego 1859 r., wtenczas, kiedy flota francuska znajdowała się już na rzece Sajgon, zawołano go niespodzianie i przeczytano mu wyrok. Z radością udał się na miejsce wykonania wyroku. Ponieważ mandarynom chodziło o pośpiech, nie zaprowadzono go na miejsce zwykłej egzekucyi, ale ścięto mu głowę na szańcu dawnej cytadeli. Wieczorem chrześcijanie z Cho-quan przyszli zabrać zwłoki, ażeby je pochować. Niedawno tendrogię szczątki zostały ze czcią odkopane z powodu śledztwa, niezbędnego po procesie beatyfikacyi, która się miała w krótkim czasie rozpocząć. Dziś znajdują się w Sajgonie pod opieką zakonnic ś-go Pawła z Chartres. Papież Leon XIII ogłosił Pawła Lok błogosławionym 13 maja 1878 r.

Innych chrześcijan, których dotąd trzymano w cytadeli, zaprowadzono teraz do Bien-hoa. Nałożono cenę na głowę wikaryusza apostołskiego i szukano go skrzętnie w okolicach Sajgonu, bo wiadano, że się tam ukrywa. Położenie jego było nad wszelki wyraz przykre. Przez dwa dni błakał się wśród pól ryżowych i gęstych zarośli, nareszcie wycieńczony chorobą i głodem, myślał już dobrowolnie oddać się w ręce siepaczy. W najkrytyczniejszej jednak chwili zjawił się pewien czło-



Kochinchina. Kościół w Barla, wykończony i poświęcony w r. 1879.

wiek szlachetny, nazwiskiem The, który go ocalił z narażeniem własnego życia.

Dnia 15 lutego wieczorem, korzystając z ciemnej nocy, biskup wsiadł na małą łódź ze swoim wybawcą, który się przebrał za żołnierza, a biskupa leżącego w łodzi przykrył słomianką. Robiąc niezliczone zboczenia, przybyli nareszcie do Dong-naj. Podczas tej niebezpiecznej żeglugi, małą łódkę nawoływali po kilka razy żołnierze stojący na

straży, ale za każdą razą The, z niewzruszoną swoją zimną krwią, odpowiadał:

— Chory żołnierz powraca do domu.

Puszczono ich też spokojnie.

Nareszcie dostali się do głównej rzeki. Płynąc z jej prądem nocną porą, spostrzegają trzy wielkie okręty, stojące na kotwicach. Na pomoście jego była czujna straż; spostrzeżono z daleka małą łódź i zawołano:

— Co jesteście za jedni?

Anamita miał się na baczności i nie odezwał się wcale, a biskup Lefebvre, uszczęśliwiony niespodziewanem oswobodzeniem, nic nie słyszał. Straż okrętowa, nie otrzymawszy odpowiedzi, strzela do łodzi.

— Odpowiadaj, księże biskupie, — woła przewodnik, — bo okręt francuski strzela do nas!

Biskup nareszcie przychodzi do siebie, ale czy dla tego, że nie rozumiał o co chodzi, lub też nie wiedział, co odpowiedzieć, zaczął pełnym głosem śpiewać starą pieśń francuską, dobrze znaną majtkom.

Ogromne zdziwienie powstało na okręcie; oficer pełniący służbę biegnie na pomost, wołając:

— Powiedźcie przecie, kto jesteście?

— Jestem biskupem i wikaryuszem apostolskim z Sajgonu i przybywam schronić się na waszym okręcie.

Nareszcie mała łódka czepia się okrętu, i biskup wchodzi na pokład, gdzie wszyscy przyjęli go z wielką radością i z wszelkimi względami, należącemi się jego wysokiej godności.

W tej epoce swego życia biskup Lefebvre był pięknym starcem, ale nędza i udręczenia ostatnich dni, połączone z chorobą, zmieniły go do niepoznania. Czcigodny dostojnik był bez obuwia, okryty nędznym ubraniem anamickiem, zbiedzony, prawie umierający z wycieńczenia i utrudzenia, jakich doznawał w ostatnich tygodniach. Oficerowie francuscy z największą serdecznością pielęgowali go. Wkrótce też w gronie spółziomków odzyskał siły. Co się tyczy odważnego zbawcy The, ten nie mógł, bez narażenia się na niechybną śmierć, powrócić do Sajgonu. Został na okręcie. Ażeby nie ściągnąć uwagi Anamitów na ucieczkę biskupa Lefebvre, zatopiono małą łódkę, która go przywiozła. Później wynagrodzono piękny postępek The, wynosząc go do godności naczelnika miasta. Obecność biskupa Lefebvre i objaśnienia, których udzielił, bardzo były użyteczne oficerom, bo dotychczas postępowali z niepewnością, nie znając kraju, miejsc obronnych i siły nieprzyjaciela. Wieczorem, 16 lutego 1859 r., okręty zbliżyły się do Sajgonu, a 17 zdobyto dwa forty południowe; jeden z nich do dziś dnia istnieje nad Ksiom-chieu, drugi oznaczony jest grupą wielkich drzew na południe

Thu-thiem. Dnia 18 lutego mandaryni, wystraszeni bombardowaniem, opuścili spiesznie cytadelę, podpalając magazyny wojskowe. Sajgon został zdobyty. Od tego dnia rozpoczyna się nowa era dla misyi w Kochinchinie zachodniej. Od czasu, w którym została kolonią francuską, chrześcijanie nie potrzebowali się lękać krwawego prześladowania. Ale nie brakowało im utrapień i krzyżów, może jeszcze dotkliwszych.

Sajgon został zdobyty, ale prawie pusty, bo Anamici puciekali za zbliżeniem się Francuzów. Francuzi, jak to już mówiliśmy, byli przez kilka lat zamknięci w ciasnej przestrzeni pomiędzy rzeką a miastem Szolon. Dowódcy anamicy strzegli dobrze wszystkich przejść, a srogie kary zagrażały tym, którzyby się odważyli zawiązać jakiegokolwiek stosunku z cudzoziemcami. Wyprawa potrzebowała świeżej żywności. Nie



Kochinchina. Śmierć mjsyonarza ks. Barreau.

wiedzano gdzie i w jaki sposób dostać takowej. W tych trudnych dniach chrześcijanie przyszl w pomoc swoim współwyznawcom. Biskup Lefebre zwołał do siebie wszystkich znajdujących się w pobliżu i radził im, żeby porzucili wioski pogańskie, gdzie tak wiele znosili przykrości, i schronili się pod sztandar francuski. Ci biedacy z pośpiechem przybyli, ażeby okazać Francuzom swoją wdzięczność, starali się sprowadzić im żywność, której tak bardzo potrzebowali, często nawet z narażeniem własnego życia. Biskup zajął na mieszkanie dla siebie opuszczony dom anamicki, na terytoryum, które tworzy dzisiaj osadę chrześcijańską Ksom-szieu. Chrześcijanie zgromadzili się około niego i utworzyli nową osadę wiejską pomiędzy fortem południowem a dzisiejszem zabudowa-

niem pocztowem. Później inni wygnańcy przybyli z prowincyi i osiedliwszy się z drugiej strony rzeki, utworzyli drugi związek osady osady chrześcijańskiej Tathiem. Z wyjątkiem Cho-quan i Thi-nghe, które już były osadami chrześcijańskimi przed przybyciem Francuzów, zresztą można powiedzieć, że wszystkie parafie w okolicy Sajgonu zaczęły istnieć dopiero od tego czasu. Nieszczęśliwi tułacze przybywali do swego biskupa pozbawieni wszystkiego, co posiadali, i zaledwie okryci łańchanami. To też przez pierwsze lata wikaryusz apostolski miał nie mały kłopot, ażeby wyżywić te ofiary prześladowania, zarazem dopomódz im do osiedlenia się. Ale obecność Francuzów w Sajgonie nie powstrzymała srogiego prześladowania w dalszych częściach wikaryatu, a kościół kochinchinński miał znowu liczyć nowych męczenników.

W styczniu 1859 r. osada chrześcijańska Daunuk, na wschód misyi, śród nocy napadniętą została przez bandę trzystu siepaczy. Tę osadę oskarżono przed wielkorządcą prowincyi, że w niej zamieszkuje misyonarz europejski, tudzież pewien ksiądz anamicki, którzy dodają chrześcianom otuchy, że tam istnieje piękny kościół i klasztor żeński. Wskazany misyonarzem był O. Pernet, który w końcu 1860 roku powrócił do Paryża i został dyrektorem seminarjum, a który tylko zawdzięczał swoją ucieczkę wielkiemu poświęceniu naczelnika osady Li-Fung. Wkrótce ten sam Li-Fung został schwytany przez siepaczy.

Ksiądz anamicki, który pełnił obowiązki proboszcza w tej osadzie, Piotr Qui, otrzymał dopiero przed rokiem święcenia kapłańskie.

Pojmano go i z razem z Ly-Fung zaprowadzono do Chau-dok wraz z dwudziestoma trzema innymi chrześcijanami. Z powodu gwałtownych tortur, niestety, aż dwudziestu z tych nieszczęśliwych pozornie wyparło się wiary. W nagrodę odesłano ich do domu. Dziewięciu zaś wytrzymało odważnie do końca; skazani też byli na wygnanie do Tonkinu. Ksiądz anamicki i Li-Fung zostali skazani na śmierć; pierwszy na ścięcie, jako ksiądz przewrotnej religii Chrystusa, drugi na uduszenie. Wszystko to działo się w czasie, kiedy Francuzi już od sześciu miesięcy byli w Sajgonie.

Tam oni spokojnie układali się z posłami anamickimi o pokój, który nareszcie miał być zagwarantowany biednym chrześcijanom. Niestety, nie prędko on jeszcze nastąpił...

Dnia 30 lipca 1859 roku, przyszedł wyrok z Hue do Chau-dok, a nazajutrz wielki mandaryn zawezwał po raz ostatni wyznawców Chrystusa i domagał się od nich odstępstwa od wiary Chrystusowej. Odebrawszy odmowną odpowiedź, wysłał ich na miejsce egzekucyi. Dwaj męczennicy, ubrani w odświętne szaty, uradowani szli na śmierć, rozmawiając o szczęściu, które ich spotkać miało. Przybywszy na miejsce

egzekucyi, Fung podniósł głos i polecił swemu starszemu synowi, który wówczas znajdował się pomiędzy pospółstwem, ażeby pochował ciało ojca Piotra i jemu także oddał tę ostatnią posługę. Następnie oddali się obaj w ręce oprawców, a Kościół kochinchiński miał znowu zapewnionych w niebie dwóch opiekunów.

W r. 1878 Stolica święta policzyła Piotra Qui i Li-Funga między błogosławionych.

Zresztą w miastach i wsiach krew lała się strumieniami, szczególnie w głównym mieście każdej prefektury, gdzie obecność wielkich mandarynów przyspieszało prześladowanie. Widzieliśmy, co się działo w Chau-dok, a w Winh-long codziennie ponawiały się cuda, podobnie, jak za czasów pierwszego chrześcijaństwa. Młode, bojaźliwe dziewczęta śmiało



Kochinchina. Śmierć misjonarza księdza Abannel.

wyznawały swoją wiarę przed wielkim mandarynem i znosiły z nadzwyczajną odwagą straszne tortury. Dnia 9-go grudnia 1858 roku klasztor Niepokalanego Poczęcia w Lai-mong został napadnięty przez licznych siepaczy. Po zburzeniu takowego spętano naczelników wsi, przełożoną klasztoru Martę Lanh i jedną jeszcze zakonnicę Elżbietę Ngo, które nie zdołały uciec, poczem wszystkich razem zaprowadzono do Winh-long.

Wielkorządca prowincyi sądził, że z łatwością pokona kobiety i uważał za punkt honoru korzystać z ich słabości, ale nie wiedział, ile to Bóg daje siły dziewczętom chrześcijańskim. Wkrótce miał się o tem przekonać. Chociaż niczego nie zaniechał, ażeby je zwyciężyć,

łaska boska była jednak silniejszą, aniżeli wszelkie tortury tyrań. Marya Lanh, przełożona klasztoru, odebrała dwieście plag trzcina bambusową, której końce okute były w żelazo. Odniesiono ją do więzienia umierającą, ale Bóg widocznie wspierał i dodawał jej siły, tak, że po jakimś czasie powróciła do zdrowia. Elżbieta Ngo, jej towarzysza, naśladowała jej heroizm. Pewnego dnia wielkorządca kazał jej wyliczyć tak wiele plag, że nie dawała znaku życia i myślano, że już umierała. Mandaryn, jakby się jeszcze chciał znęcać nad trupem, zawołał:

— Odwiążcie ją i zawleczenie na krzyż!

Ale wiara zwyciężyła, bo zaledwie bohaterkę podniesiono z ziemi, cudownie odzyskuje siły i w chwili, gdy się zbliżyła do znaku zbawienia, chwytając krzyż, podnosi w górę, jako trofeum swego zwycięstwa i mówi głośno:

— Cześć Ci, o, Jezu! Cześć ci, o, krzyżu zbawienia!

Mandaryn, czując się pokonanym stałością bohaterki, kazał jej ścinać głowę, aby nie przedłużać tryumfu chrześcijan i oburzenia obecnych pogan.

W My-tho, Bien-hoa, Baria i wszystkich prowincjach, takie same okropności się powtarzały, a wszędzie równy heroizm stawał do walki. Ks. biskup Lefebvre, zarządzając później obwodem Bien-hoa, miał sposobność poznać lepiej dzieje męczeństwa świętych wyznawców tej miejscowości.

Po zdobyciu Sajgonu, więźniowie chrześcijańscy zamknięci w cytadeli, zostali szybko przewiezieni do Bien-hoa, z obawy, aby ich Francuzi nie uwolnili. Wkrótce z Tan-Trieu, Mi-hoi, Tu-dau-mot i okolicy, zaprowadzono także do Bien-hoa znakomitszych obywateli chrześcijańskich. Dostatecznie powiedzieć, że w tym więzieniu znajdowało się 600 uwięzionych chrześcijan. A gdy wciąż jeszcze nowych sprowadzano, zabrakło już miejsca dla nich. Mandaryni jednak znaleźli dobry sposób, ażeby rozszerzyć więzienie. Kazali bowiem od czasu do czasu ścinać pewną liczbę chrześcijan, którzy się do wyparcia wiary nakłonić nie dali. W bliskości cytadeli jest mały pagórek, nazwany Dok-si, gdzie misja ufundowała odtąd mały zakład. Więc tam, na zejściu się dwóch dróg, z których jedna prowadzi do Baria, a druga do Tan-hien, odbywały się egzekucje. Przez jeden rok cały dwa albo trzy razy co tydzień, głowy chrześcijan spadały na tę ziemię, zroszone krwią wyznawców Chrystusa.

Jednym z najznakomitszych z pomiędzy tych wyznawców był Taj-Ksuan, którego życiorys tutaj podajemy. Był on doktorem w Thu-duk, niedaleko Sajgonu. Zakończony charakter, połączony z umiejętnością, zjednała mu zaufanie ogółu, nawet szacunek wicekróla i wielkich man-

darynów w Sajgonie, którzy tylko jego rad zasięgali w chorobie. Za ledwo Francuzi przybyli do przylądka ś-go Jakóba, mandaryni z Sajgonu schwytali go podstępem; przywołano go do Sajgonu pod pozorem, że wicekroń niebezpiecznie zachorował. Lekarz nie spodziewał się zasadzki, niezwłocznie przybył. Ponieważ choroba była zmyślona, namawiano go do odstępstwa, ale Taj-Ksuan oparł się temu i z innymi więźniami zaprowadzony został do Bien-hoa. Z wielkim heroizmem po kilkakroć znosił tortury. Na wszystkie przedstawienia odpowiadał:

— Już sześćdziesiąt lat służę Chrystusowi Panu i ufam, że przy łasce Bożej umrę chrześcijaninem!

Odesłany do więzienia, zachęcał do wytrwania innych współwyznawców. Nareszcie z początkiem grudnia 1860 r. zapadł nań wyrok śmierci podpisany przez króla. W ciężkie kajdany okutego oprowadzano najprzód po targowisku w Bien-hoa, pośród obelg i złorzeczeń pospólstwa. Następnie zaprowadzono go na pagórek Doesoi, gdzie miał być ścięty, ale wiek i tortury zużyły siły jego. Podobnie jak Boski Mistrz, kiedy wstępował na Kalwaryę, upadał i on po kilka razy, przyciśnięty ciężarem — nie krzyża — ale kajdan. Gdy na wpół umarły przywłókł się do miejsca egzekucyi, ukląkł, pomodlił się raz ostatni i ze spokojem podał głowę pod miecz katowski.

Były to prawdziwie czasy najświetniejszego tryumfu wiary chrześcijańskiej. Niepodobna tu wyliczyć wszystkich ofiar, ani określić wszystkich heroicznych czynów mnogiego zastępu męczenników, którymi na onczas zajaśniał Kościół w Anamie i w Kochinchinie. Niestety, świadkowie, którzyby mogli opowiedzieć te cuda bohaterstwa chrześcijańskiego, prawie wszyscy poginęli z rąk prześladowców. Bóg jednak widział te piękne czyny wiernych sług swoich, policzył ich łzy i ocenił krew ich, przelaną z miłości ku Niemu, a w dniu zmartwychwstania przyzna im chwałę należną.

Wspomnieć tu jeszcze należy, że nieraz masami tracono chrześcijan. W mieście warownem Baria, leżącym na wzgórzu o kilka tylko mil odległym od przylądka ś-go Jakóba, trzymali prześladowcy w więzieniach około 700 chrześcijan, dręcząc ich wszelkimi wyszukanymi sposobami. Francuzi w dwa lata po zdobyciu Sajgonu, wzruszeni wreszcie wieściami, jakie ich dochodziły o srogich cierpieniach tych więźniów, postanowili zdobyć Barię. Wojsko, wysłane w tym celu do tego miasta, zmierzało wprost ku więzieniu. Ale kiedy się już zbliżyło do niego, mandaryni, uprzedzając je, kazali podłożyć ogień w kaźni. Spłonęli w nim wszyscy więźniowie oprócz dziesięciu, którym się udało uratować ucieczką. Francuzi zdobyli bez trudności warownię, ale w więzieniu znaleźli, Niestety, już tylko proch i kości albo ciała do połowy spalone... W podobny sposób spalono trzy inne więzienia, w których na-

liczono 400 niewiast i dzieci, a z których jednak prawie połowę uratowali żołnierze powodujący się uczuciem ludzkości.

Skoro pokój przywrócony został, zebrano w roku 1865 kości tych czcigodnych męczenników i złożono je ze czcią w spólnym grobie, a koło nich zbudowano kaplicę pamiątkową. Miasto Baria stało się później jednym z głównych ognisk chrześcijańskich w Kochinchinie, a w kilkanaście lat po zawarciu pokoju zbudowano w niem wspaniały kościół na cześć śtych Filipa i Jakóba. Kościół ten w roku 1879 uroczyście konsekrował biskup Colombert, wikaryusz apostolski Kochinchiny francuskiej, w asystencji biskupa Pontriane, wikaryusza apostolskiego.

(D. c. n.)



Historya illustrowana Kościoła Świętego RZYMSKO-KATOLICKIEGO w obrazach i życiorysach.

Obraz XIII.

„Felicyta czyli Męczennicy Kartagińscy“

Jest to przez A. E. Odyńca, utalentowanego poetę, druha Adama Mickiewicza skreślony obraz wiary, pobożności i stałości chrześcijańskiej. Podajemy co najpiękniejsze wyjątki z tego natchnionego utworu ku pożytkowi duchowemu naszych czytelników.

Śpiew Felicyty przy lutni.

Błogosławiony! czyj duch w natchnieniu
Tak może lecieć, tak leci wzwyż,
Że świat znikomy znika spojrzeniu;
Że widzi tylko, w jasnym widzeniu,
Życie w wieczności, Stwórcę w stworzeniu,
Dwa ich ogniwa w wiecznym zetknięciu:
Duch na Niebiosach — na ziemi Krzyż!
O! i na ziemi Błogosławiony!
Kto z niesionemi w Niebo ramiony,
Łzę skruchy tylko zabłyśnie.
Z duszy i z ciała jest on już razem:
Ducha naczyniem, Krzyża obrazem,

I Chrystus na nim zawiśnie.
I jak z ołtarza, z nad serca jego,
Ofiarę z Siebie wzniesie za niego,
I krwią go Swoją obmyje.
I zstąpi za nim w śmierci otchłanie;
Aż człowiek z Bogiem z martwych powstanie,
I przez krzyż w duchu ożyje!

(Przerywa nagle śpiew i granie, i cofając się z przerażeniem:)

Lecz skąd mi ta moc nieznana?
Blask i ogień we mnie tchnie..
Ha! słuchajcie, w imię Pana!
Wola Jego wam i mnie.
On otworzył me źrenice,
On mym ustom daje głos;
On, Wszechmocny, mnie grzesznicę
Nad przyszłością świata wzniośł..
Niebo i ziemię objął mój wzrok.
Tam blask, tu mrok...
Tam hymny Hosanny,
Sfer niebieskich dźwięk;
Tu płacz nieustanny,
Tu kajdan brzęk.
„Światło, oświeć!“ — rzekł Pan.
„Jam dał, Jam dan.
Jam ciemność zmógł.
Ziemio! więzy twe skrusz!
Mnie znaj, Mnie służ!
Jam jeden Bóg!“
I widzę z stron obu,
Z góry i z dołu,
Z Nieba i z grobu:
Razem, pospołu,
Z nieśmiertelności i z śmierci bram:
Dwoisty, a ten sam,
Blask wszedł — spadł, wzrósł!..
„Jam Jest — rzekł głos.
Jam Syn, Jam Duch,
Jam Ojciec Obu,
Jam Trzeci w Dwóch!“
I widzę, u góry,
Jak dzień roztoczony,

W błękie bez chmury,
Gołąb biało-pióry
Lot rozwił wszecz.
I widzę, u dołu,
Krwia cały czerwony,
Jak księżyc u wschodu,
Z wielkich ruin grodu,
Podniósł się krzyż.
I widzę, z pod ziemi,
Jak ciemności smug,
Skrzydłami, wichrami,
Czarnemi chmurami,
W pół Nieba od ziemi,
Jak noc między niemi,
Rozpostarł się wróg.
Głos! — słyszę znów:
„Co słyszysz, mów!
Bom Ja jest głos Ducha
Kto słyszy, dosłucha.
Bom Ja Pan ich ucha,
Jam głos twych słów.
Mnie ludziom nie dociec!
Jam Stwórca, Jam Ojciec,
Ja Bóg — Jehowa.
Lecz Jam wam sam z Siebie,
Na ziemi, na Niebie,
Jam zesał dwa blaski,
Jam dał wam dwie mocy:
Ducha i Słowa,
Pokuty i łaski;
By zwalczyć mrok nocy,
Zmóć grzechu niewolę:
Przy Mojej pomocy,
Przez własną swą wolę.
I oto walk pole.
Bój, wasza zasługa,
Zwycięstwo, Mój czyn;
Bojownik, Mój sługa,
Zwycięzca, Mój Syn.
Krzyż przezeń wzrośnie wyżej,
Duch k'niemu zstąpi niżej;
Blask ich, z dołu i z góry,

Przejdą wzajem skroś chmury.
Gdy się Duch z krzyżem złączy,
Wróg pierzchnie, bój się skończy,
Pierzchnie noc, śmierć i grzech.
Ziemia jak Niebo zaświeci,
Ja, Ojciec stanę śród dzieci,
Ja Bóg, w Dwóch Trzeci,
Ja Jeden w Trzech.“ —
Znówże każesz mi, Panie,
Patrzeć w czasów otchłanie? —
Ach! oszczędź memu oku,
Oszczędź tego widoku!
Jak fale chmur, jak wody,
Wrą wieki i narody.
Krzyż, jak maszt na bałwanach,
Wznosi się, zniża, chwieje;
Blask jego — księżyc w zmianach —
Iskrzy, blednie, ciemnieje.
Rzadko, ledwo nań z góry
Duch gdzie błysnie przez chmury;
A z chmur burze, a z dołu
Mgły nań biją pospołu.
On walczy — wzniosł się — buja —
Zwyciężył! — Alleluja!
Czołem chmury już dzieli,
O! i któż ten mąż w bieli?
Tak do krzyża przypadły,
Tak znać z cierpień pobladły?
W tak modlącej postaci,
Tak do Nieba, do braci,
Dłoń wznoszący miłośnic? —
W ręku jego krzyż rośnie,
Duch ku niemu w dół złata,
Noc rzednie — pierzcha wróg.
I słyszę głos z nad świata:
„Oto Mój sługa sług!
Przezeń się Moje zbliża
Królestwo; on Mną możny.
Imię jego: Duch z krzyża,
Trzy razy trzy Pobożny!“

Chrześcijanie.

Cześć Tobie, Panie! Z niej moc Twego Ducha
Tehnie na pogany. Tyś wolę ich ucha
Związał Twem słowem. O! skończ dzieło cudu,
Krwia naszą otwórz oczy tego ludu!

Felicyta.

(w najwyższem uniesieniu, z oczyma zwróconemi ku niebu).

Bracia! bracia! czy widzicie?
To nie mara, to nie sen!
Na niebieskim tam błękiecie,
Jak słonecznych łun odbicie,
Nowa jasność, nowy dzień!
Ach! to Oni! widzę, w bieli,
To Serafy, to Anieli!
W nieprzejrzane złani chóry,
Zgięci ku nam patrzą z góry!...
Słyszę, słyszę, w głosu dźwiękach
Brzmi Hosanny święty psalm;
Widzę, widzę, jak w ich rękach
Powiewają liście palm!...
Idę, idę? — O, szczęśliwa!
Duch mój ku nim mię porywa,
Ziemia znika z pod mych nóg.
Krzyżu drogi! Śmierci słodka!
Wy mię wiedźcie, gdzie mię spotka
Jezus Chrystus, Pan mój, Bóg!

(Lutnia wypada z jej rąk, które wznosi ku niebu.)

Głosy pomiędzy kapłanami.

Bluźnierstwo! — Na śmierć, na śmierć ją! —

(lud rzuca się ku niej z oznakami wściekłości).

Olympiusz (zasłaniając ją sobą).

Stójcie! ani kroku!
Nikczemna zgrajo! I któż się odważy
Upredzać słowo mojego wyroku?

Vulpiskus.

Lud broni cześci swych bogów, który władza
Błąźnić dopuszcza.

Olympiusz.

Kto cię dał na sędzię
Czynności moich?

Głosy między kapłanami i ludem.

Słyszycie, on zdradza!
On chrześcijanin!

Asper (do Olympiusza).

Hamuj się w zapędzie!

Olympiusz.

Podły motłochu! nie szmer wasz, nie wrzawa,
Któremi gardzę z głębi całej duszy,
Lecz święta wola Augustów i prawa,
Głosi im wyrok śmierci i katuszy.

(do Aspera, wskazując na chrześcijan).

Wiedź ich, Asperze, niech każdy obiera
Sam sobie rodzaj swej śmierci i kaźni.
Lecz daj czas jeszcze: — kto uczci Sewera,
Zbaw go! (ciszej).

Asperze! ufam twojej przyjaźni.

(Asper odchodzi).

Hymn chrześcijan.

Hosanna Panu na wysokości!
Hosanna Panu na wieczny czas!
W Imię Twe idziem ku Twojej wieczności,
Przyjm nas, o, Panie! błogosław nas!

(Podczas śpiewania tego hymnu żołnierze wyprowadzają chrześcijan; lud tłoczy się za nimi).

Felicyta.

(wyciągając ręce ku ojcu, który usiłuje przedrzeć się ku niej).
Żegnaj, mój ojcze!

Arcykapłan.

(do żołnierzy, którzy go zatrzymują).

Tygrysy, nie ludzie!
Puśćcie mię, puśćcie! — To jest moje dziecko;
Jam jest jej ojciec! — Jakież są na świecie
Dzielić nas może?...

(Żołnierze wyprowadzają Felicytę).

(D. c. n.)



Sławni dostojnicy Kościoła.

III.

Stanisław Hozyusz.

Wziętość Hozyusza na wszystkich dworach monarchów chrześcijańskich pobudziła króla Zygmunta Augusta, żeby go użyć w sprawie o puściznę po matce swojej, Bonie Sforcy, w Neapolu zaległą. W tym też celu wyprawił go do Filipa II, króla hiszpańskiego. Hozyusz podjął się tej usługi świeckiej dlatego, ponieważ mu król przyrzekł, iż poprawi się w zbytecznem pobłażaniu kacerzom, nadto przyrzekł więcej serca okazywać małżonce swojej. Lecz poselstwo spełzło na niczem, musiało ustąpić bowiem sprawom, które Hozyusza w Prusiech Książęcych zatrzymały.

Wichrzyły tam rozmaite zabiegi i chytryści, niedołężną starością ośmdziesięcioletniego Alberta uzuchwalane. Przewidywał Hozyusz wczesnie, iż te burzliwości zarówno wierze katolickiej, jak i koronie niebezpieczeństwem groziły. Przekonał się o tem dosadniej, jeżdżąc tam z Janem Kostką, wojewodą sandomierskim. Książę Albert okazywał wprawdzie Hozyuszowi szacunek, ale możni i władni panowie pruscy srodze mu dokuczali.

Niemało Hozyuszowi zadawało przykrości już to samo, że owi zawistnicy, dumni, a zaślepieni, z umysłu mu podsuwali, zamiast potraw postnych, mięsne i maślane, gdy zaś te kazał sprzątać, poprzestając na kawałku suchego chleba, tamci mu na złość nabiał lub szperki do chleba skrycie mieszały. Gdy ich książę chciał za to karać, Hozyusz zawsze się za nimi wstawiał i przebaczenie wypraszał, ale ponieważ w sumieniu powziął przeświadczenie, z onych podstępnych złośliwości,

że są przeciwko wierze rzymsko-katolickiej srodze zawzięci, więc tem gorliwiej wglądał, iżby sprawom kraju nie szkodzili i gęstemi listami ostrzegał króla o ich niebezpiecznych zamysłach. Wielu przykrzyła się ta gorliwość, więc rozgłosili, że Hozyusz oszalał.

Hozyusz jednak postawił na swoim. Król sąd wyznaczył, który najburzliwszych wichrzycieli przykładnie skarcił, a Hozyusz od króla podziękowanie otrzymał, i jak ów, co Rzym wybawił od sztyletów Kataliny, tytuł „ojca ojczyzny.”

Hozyusz prawie wszystkie mowy sejmowe zaczynał od słów:

— Uwolnijcie Polskę od zarazy kacerstwa.

Więc na zgromadzeniu pruskim w Elblągu, w r. 1568, gdy się stany prowincyi na ubliżanie prawom i przywilejom skarżyły, odpowiadał im raz wraz:

— Nowość w Kościele ciągnie za sobą nowość w kraju. Nie naruszajcie praw Kościoła, a król wam waszych dochowa.

Na sejmie lubelskim, kiedy rzecz szła o wcielenie do Polski prowincyj przyłączonych, wtrącał zawsze do tego jedność kościelną, wszelako daleki od myśli, iżby mu przy ugodzie jedna strona miała coś postąpić, a druga ustąpić. Kiedy do rady wchodził, król i senat cały, oprócz dysydentów, wojewodów krakowskiego i sandomierskiego, przez uszanowanie godności kardynalskiej, powstając z krzesel, uchylali czapek.

Wkrótce król, w sprawach krajowych i w interesach swego domu, wyprawił Hozyusza do Rzymu. Wymawiał się Hozyusz od tej służby długo i wtedy dopiero przystał na nią, gdy mu król pozwolił przybrać sobie za pomocnika Marcina Kromera, słynnego dziejopisa. Otrzymawszy pozwolenie, pojechał, aby już więcej nie wrócić do ojczyzny, aby dni ostatnie spędzić w owej świata katolickiego stolicy, gdzie był niemniej czczony, jako doktor i nauczyciel powszechnego Kościoła katolickiego.

Z Miasta Wiecznego opiekę swoją rozciągał na wszystkie niemal kraje. Pocieszał uciśnionych w Anglii przez królową Elżbietę katolików i z tamtejszymi uczonymi: Godwinem, Sanderem, Stapletonem, Kopem, Alanem, Andoenem, Wendonim, najściślej utrzymywał stosunki. Wygnańców z kraju w ich tułactwie i poniewierce wspierał nawet nad możność swoją; on też sprawił, że Papież Pius V znaczne sumy na ich wspomóżeniełożył. Zauważywszy, że Jan III, król szwedzki, zamierza w kraju swoim przeistoczyć luterstwo, wprowadzone tam przez Gustawa I, usiłował go nakłonić do jedności z Kościołem rzymskim, oświecał go listami, prostował jego wiadomości teologiczne, w czem mu pomagała małżonka króla, Katarzyna Jagiellonka, córka Zygmunta I, króla polskiego, która w celu łatwiejszego porozumienia

się z Hozyuszem, przysłała do Rzymu Pawła Kremońskiego. Hozyusz przydawał broni duchownej spowiednikowi jej, Janowi Herbestowi, prócz tego umyślił wyprawić do Szwecyi Jezuitów. Wcześniej ujmował, jeszcze wówczas dziecinę, synaczka króla szwedzkiego, młodziuchnego Zygmunta, który potem w Polsce pod imieniem Zygmunta III panował, pisując do niego, posyłając mu to książki duchowne, to ponętne dla jego wieku cacka.

Gorliwie chwycił wszelką sposobność tępienia odszczepieństwa i w Niemczech. Jakoż gdy Mikołaj Gallus, utrzymujący ścisłą naukę Lutra, wydał akta dysputy swojej, odbytej w Altenburgu Saskim z Filipem Melanchtonem, głową umiarkowańszych lutrów, Hozyusz radował się, widząc ich srożej niż dawniej zwaśnionymi, bo Gallus nawet oświadczył, że wolałby raczej z Papieżem niż z Melanchtonem się zbrać. Więc Hozyusz nie tylko Sandera skłonił, żeby przeciw obydwom powaśnionym odszczepieńcom z odpowiedniami pismami wystąpił, ale także przez księcia bawarskiego Alberta, pobudzał kurfirsta saskiego, żeby wysłuchawszy dwóch stron, i trzeciej, katolickiej ucha nadstawił, lub przynajmniej, żeby pozwolił nauce katolickiej wolnego do kraju swego przystępu.

Około tego czasu, pewna książka Edera, radcy cesarskiego, tak oburzyła kardynała Hozyusza, że walkę swoją z wrogami religii katolickiej na wszystkich stanowiskach rozwinął. Kazał z odszczepieńczej księgi Edera wypisywać treść po łacinie i po niemiecku, wypisy zaś owe rozesał do wszystkich europejskich monarchów i książąt, zagrzewając ich przeciwko herezyi. Pisywał też do biskupów, osobliwie polskich i niemieckich, listy okólne, żądając od nich, aby z całym zapalem, z całą umysłu odwagą na obronę wiary świętej się zdobyli, nie naśladując więcej owych dzieci, co to kiedy złodziej drzwi wyłamuje do domu, one spokojnie swemi cackami się bawią, a dopiero wtedy zaczynają szlochać i krzyczeć, kiedy się po ich piszczałkę czy grzechotkę posunie.

Tak oto gorliwie obowiązki swe pełnił, aż tu król Zygmunt August pisze do niego, modlitwom jego pomyślność broni swej w zamierzonej wojnie z Moskwą polecając. Hozyusz nie ominał sposobności upomnienia i tego króla co do oziębłości dla spraw wiary. Odpisał mu, między innemi:

„Obyś był, królu, poddanych swoich, przeciwko niebu zbuntowanych uskromił, zapewne i niebo byłoby od ciebie postrach tej wojny oddaliło. Odbierasz oto wet za wet. Tyś poblażał olbrzymom, w niebo szturmującym, Bóg też na ciebie srogich nieprzyjaciół dopuścił. Nie ludź się, nie ludź nadzieją, iżby trwać mogło królestwo twoje, kiedy się pośrodku niego Chrystusowe obala.”

Strofował dalej surowo tegoż króla, to o przedsięwzięcie rozwodu z Katarzyną, córką Ferdynanda; to o dawanie schronienia w Polsce zbiegowi kapucyńskiemu Ochinowi.

Śmierć Zygmunta Augusta, chociaż potępiał obojętność tego króla na sprawy wiary, mimo to szczerze go żałowała. Jakoż po onej śmierci cięższe jeszcze szturmy przeciwko Kościołowi rzymskiemu powstały.

— Król i dobrodziej mój żyć przestał! — rzekł Hozyusz do długoletniego sekretarza swego, księdza Reszki.

Niezwłocznie też odprawił za spokój duszy zmarłego króla nabożeństwo żałobne i w wiosce pod Rzymem, w której mieszkał, i w samym Rzymie, w kościele Ś-go Wawrzyńca. Na tem ostatniem nabożeństwie znajdowało się 40 kardynałów, 112 ubogich otrzymało 3 tysiące jałmużny, a ks. Reszka mowę żałobną, napisaną przez Hozyusza, wypowiedział.

Prowadził zatem Hozyusz w Rzymie życie niezmiennie czynne, podzielone zawsze pomiędzy naukę, pełnienie cnót chrześcijańskich i ćwiczenia pobożne. Zaraz po rozgłoszeniu się tam, kazał ks. Reszce każdemu ubogiemu, których tłumy zawsze zbierały się u drzwi kościoła watykańskiego, dawać codzień, o świtaniu, dukata na jałmużnę. Sam wyszukiwał nieszczęśliwych, nie opuszczał żadnej sposobności świadczenia dobrodziejstw. Gdy chrześcijanie zwyciężyli Turków w bitwie morskiej pod Naupaktem i przez Rzym wracało 300 uwolnionych z więzów tureckich Rusinów, przyjął ich w dom swój, jak gości, kilka dni żywił, przy pomocy patriarchy konstantynopolskiego w wierze rzymskiej oświecił, a następnie do kraju wyprawił, na drogę z własnej szkatuły zaopatrzwszy. Przestrzegano go często o zbytnią hojność, on zaś odpowiadał:

— Czemże mam ją mierzyć? Skąd mogę wiedzieć, ile który biedak potrzebuje?

Gdy mu nadmieniano, że nie rozporządza w danej chwili pieniędzmi, mówił:

— To czempredziej sprzedajcie cośkolwiek z moich ruchomości. Nie godzi się przedłużać nędzy bliźniego.

Stół u niego zawsze był otwarty; zapraszał i podejmował pańsko znakomitych gości; przyjaciółom zawsze rad był szczerze; zresztą czuł obowiązek każdego nakarmić i napoić. Często zwłóczył z godziną obiadu, czekając, czy jeszcze się kto nie nadarzy, bo nie smakował mu nigdy kawałek chleba, kiedy nim nie miał z kim się podzielić.

Jak w Warmii, i w Rzymie stale tego zwyczaju się trzymał, żeby podczas obiadu co pobożnego czytano. Mniej baczne, mniej przystojne rozmowy powściągał nie surowem strofowaniem, lecz milczeniem i po-

ważnym twarzy układem. Po włosku dobrze nie umiał, więc po łacinie rozmawiał z Włochami, nadmieniając żartobliwie:

— Milej mi mówić językiem Rzymian, świata zwycięzców, niż Rzymian zwyciężonych.

Dla swoich, Polaków, zawsze był serdecznym. Wielu z młodzi polskiej, w Rzymie goszczącej, zwłaszcza spokrewnionej z dawnymi swymi dobroczyńcami, jako to: Tomickimi, Maciejowskimi, Choińskimi, utrzymywał przy sobie. Również usiłował wypłacić się królowej Annie Jagiellonce, za łaski od jej ojca i brata odebrane, starając się bądź sam, bądź za pośrednictwem Ojca Ś-go, odzyskać dla niej włosci matki jej, Bony, w Królestwie Neapolitańskim. Jeżeli się dowiedział o jakiej niesnasce pomiędzy opuszczonymi w Rzymie Polakami, natychmiast jednał ich i godził. Jeżeli któremu z nich było kuso, wspomagał go, choćby kosztem sprzedania swoich rzeczy.

Pielgrzymów z Polski zawsze witał z radością, a rozrzewniał się przezacny starzec, gdy mu staropolską Bogarodzieę śpiewali. Skoro się z którym rodakiem rozstawał, to rzekłbyś, iż ojciec z synem się żegna. Od nikogo żadnej wdzięczności nie wymagał, jedno przyrzeczenia, że w wierze katolickiej wytrwa; ale od tych, których krewni wierze katolickiej się przeniewierzyli, brał zapewnienie piśmienne, iż śladem przeniewierców nie pójdą.

(D. c. n.)



POTĘGA MODLITWY

opowieść z przed laty

(według opowiadania J. I. Kraszewskiego, p. t. „Historya o dziewczynce
z pod Ostrej-Bramy.“

III.

Edward po raz trzeci już spotkawszy nieznaną dziewczynkę, skutkiem zapewne szczególnego usposobienia duszy, uczuł się nią silnie zajęty. Nie każda jałmużna, którą dajemy, przywiązuje do obdarzonego, tymczasem jego dar tajemniczy, zdawało się, że na niego włożył jakieś względem owej nieznanomej obowiązki.

Broniąc się myślom o niej, bo czuł całą ich śmieszność, mimowolnie dumał, w nocy widział ją we snach. Rano wstał z postanowieniem mocnem wyszukania jej, ofiarowania pomocy, dowiedzenia się o przeszłości. Nie poszedł jednak rano do Ostrej-Bramy, oczekując wieczora, a prawie pewnym będąc, że ją na zwykłej modlitwie zastanie.

Dzień mu się wydał długi i nudny, i nie dziw, oczekiwanie zawsze czas przedłuża, doświadczył tego każdy.

Nadszedł wieczór.

Edward zmrokiem był u Ostrej-Bramy. — Omylił się, nie było sieloty tutaj. Zaledwie oczom swym wierzył.

Przecucie mówiło do niego tak głośno, tak wyraźnie, że ją tam znajdzie; byłby przysiągł, że nie omyli, a jednak — Edward zaprzysiągł,

że żadnemu przeczuciu nie uwierzy; i gdy tak przysięgał, nie odchodził, czekał. W kątku jego duszy była iskierka nadziei — patrzył na miejsce, które zajmowała Julka, niekiedy spoglądał w ulicę, ale nikt nie przychodził. Edward zaczął się modlić, uczuł się bardzo smutnym, wstydził się sam siebie.

Wśród modlitwy usłyszał szelest w ulicy, drobnymi krokami, spiesząc, szła jakaś kobieta.

— To ona! — to pewno ona! — pomyślał i serce mu zabiło.

Spojrzał i już nie wątpił; postać jej była tak charakterystyczna, ruchy tak zręczne i szlachetne, iż druga jej stanu dziewczyna miećby ich nie mogła. Tem mocniej się przekonał, iż to była jego nieznajoma, gdy się zwróciła ku galeryi, i uklękła na swoim miejscu, żegnając się do modlitwy.

Leż skąd wracała?

Więc miała znajomości, stosunki w mieście, zajęcia? Edward postanowił dowiedzieć się o wszystkim i nie chcąc jej przerywać, czekał aż dokończy pacierzy. A tymczasem mierzył ją okiem badawczym, nie mogąc pojąć jak wprzód, skąd pod ubogą suknią służebnej, sieroty, mogła wykwitnąć twarz taka, taka postawa i taka pobożność?

Przez jaką losu igraszkę, dostały jej się pobożność, innego rodzaju ludzi, których jej równi cenić nawet nie umieją?

— Bóg tak zrządził — powiedział sobie, bo inaczej pojąć tego nie potrafił.

W pół godziny może, wstała dziewczynka od modlitwy, ale nie siedła usypiać tu, jak pierwszej nocy, przeżegnawszy się, odchodziła.

— Uczułem litość nad twoim losem, zwier mi się i zaufaj! — rzekł szczerze Edward.

Dziewczyna wstrzymała się znowu, zastanowiła i spojrzała Edwardowi w oczy ciekawie, ale nic nie odpowiedziała. Zdawała się zdziwiona niezmiernie.

— Trzy dni, jak codzień widzę cię rano i wieczorem u Ostrej-Bramy; czuwałem nad tobą, gdyś spała pod galeryą; słyszałem cię narzekającą przez sen, płaczącą przed cudownym obrazem. — Musisz być nieszczęśliwa; może nie masz sposobu do życia, może...

— Skądże pan mnie o to pyta?

— Mówię ci, żem obserwował cię przez dni kilka.

— Mnie? umyślnie?

— I stałem nad tobą, — dodał Edward, gdy ci Najświętsza Panna zeszła we śnie jałmużnę!

— To pan! — zdziwiona krzyknęła dziewczynka.

— Wszystko widziałem; miałaś wówczas sen niespokojny, przez sen wołałaś do Matki Boskiej, aby się zlitowała nad sierotą, nad Julką! — Więc nazywaś się Julia?

— Skądże pan to wiesz?

— Powiedziałaś przez sen.

— A! a! przerwała dziewczynka, i pan wszystko słyszał! Ach, ja oczu już nie podniosę! —

— Nic złego nie słyszałem, wiem tylko, żeś biedna. Wracasz do miasta, musiałaś znaleźć służbę?

— Nie, panie! — odpowiedziała dziewczynka; — kiedy pan już tak gwałtem chce wiedzieć, to powiem, cóż robić? — Z tej jałmużny założyłam sobie sklepik szkaplerzy, obrazków i paciurek, z tem siedzę w Ostrej-Bramie, a tu niedaleko najęłam mizerną izdebkę w suterrenach.

— Z czegoż będziesz żyła?

— Z czego? — zapytała sierota głosem zadziwienia i odwagi — a mój sklepik, a mój zysk, który mi da Matka Boża, pod której kościołem siedzę?

— Ubogie to będzie życie, bardzo ubogie!

— Mam Opiekunkę.

— Kogo? gdzie?

Odwróciła się ku Ostrej-Bramie i przeżegnała, mówiąc: — Matkę Boską!

— Słuchaj, — rzekł Edward po chwili milczenia, — a naprzód odpędź wszelki strach, wszelkie niedowiarstwo. Widziałem cię w największem twojem nieszczęściu... Pobożność twoja podobała mi się. Jeślibyś kiedy potrzebowała mojej pomocy, zgłoś się do mnie, oto mój adres i nazwisko. Teraz na początek handlu daję ci jeszcze sto złotych, najmij lepsze mieszkanie. — Za moją pomoc odpłacisz mi, jeśli opowiedzieć zechcesz, co cię do tego stanu przywiodło, żeś nie miała gdzie głowy położyć?

Dziewczyna zdziwiona, przelękała prawie na widok pieniędzy, cofnęła się.

— Cóż to, boisz się znowu?

— Panie! ach, panie! — jęknęła, — bo prawdziwie, bo...

— Weź to, jako dar Matki Bożej, nie mój, jako nagrodę ufności w jej opiekę.. Jutro, nad wieczorem, przyjdę do twego sklepiku pogadać z tobą.

— Ach! zmiłuj się pan, — zakrzyknęła dziewczę, oddając pieniądze, — nie czynź tego, proszę, nie czynź!

— Czemuż?

— Ja nie chcę, nie chcę!... Dośćby na moją zgubę jednej takiej rozmowy.

— Przecież się muszę dowiedzieć więcej o tobie.

— Jutro wieczorem u Ostrej-Bramy — pod obrazem; będzie święty świadek rozmowy, a ja nie tyle się lękać będę! — odrzekła dziewczynka.

IV.

Jak tylko nazajutrz dzień zmienił się w wieczór, który wieczorem z biedy tylko nazwać było można, bo jeszcze zmierzchać nie poczynąło, Edward poleciał do Ostrej-Bramy. Zastał już tam Julię, która klęczała i modliła się, mając przy sobie w chustce zawinięty cały swój sklepik, tylko co z zydelka zdjęty. Szanował Edward modlitwę i stanął z daleka.

Jeszcze też ulica nadto była ludna, aby nie narażając się na śmieszność, na dziwaczne przechodniów domysły, można było usiąść do rozmowy pod oczyma owego świata miejskiego, który sam zepsuty, we wszystkim widzi zepsucie, (tam nawet, gdzie go niema). Julcia skończyła modlitwę i obejrzała się.

— Dobry wieczór! — rzekł Edward.

— Dobry wieczór! — odpowiedziała smutnie.

— Dziękuję ci za dotrzymanie słowa.

— Niema za co, — odrzekła teraz — jakem się namyśliła...

— To cóż takiego?

— Tutaj, w tem świętem miejscu...

— Nie zechcesz zapewne rozmawiać? — podchwycił Edward.

— Nie potrafię — ja tu tyłkobyem się modliła...

— Gdzież więc porozmawiamy?...

— Tutaj, przy kramie jednej z moich staruszek sąsiadek.

— Dobrze!

Jakoż poszli oboje w głąb ulicy.

— Jesteś tutejsza, z Wilna? — zapytał Edward.

— Zaraz wszystko powiem.

Westchnęła, i tak opowiadać zaczęła:

— Nie znałam moich rodziców. Mówiono mi tylko, że podczas wojny stracili mienie i życie i że znaleziono mnie maleńką w pieluchach, na słomie, u bramy jednego domu na ulicy wielkemiejskiej. Chciano podobno z początku odesłać do Sióstr Miłosierdzia, ale potem zlitowała się nademną jakaś szynkarka, która na dole tam miała szynceczek, wzięła i wychowała. Ona sama nie miała dzieci, kochała też mnie bardzo.

Ja tego mało co pamiętam, jak przez mgłę, słyszałam tylko o tem od ludzi. W kilka lat biedna kobieta umarła i zostawiła mnie znowu na Bożej opiece, bo Bóg—ojcem sieroty.

Siostrzeniec jej wyrzucił mnie z domu. Gdym płacząc w ulicy, głośno wołała matki, ludzie się zaczęli gromadzić koło mnie, rozpowiadając o nieboszczce i kląć nielitościwego siostrzeńca.

Młoda jakaś pani, przechodząca wówczas, wstrzymała się, rozpytała o mnie, i wzięła do siebie.

O! dobraż to była pani, nabożna, cierpliwa jak anioł, ale nie-szczęśliwa, bo płakała często.

Ona to nauczyła mnie modlić się i ufać w Bogu, ona dała mi wielki skarb na sieroce życie: pobożność i cierpliwość. Patrząc na nią, musiałam ją naśladować i nigdy potem nie zapomniałam o niej, o jej macierzyńskich naukach. I ta umarła, zostawując mnie małą, znowu bez opieki, samą jedną.

Mąż jej, który tego anioła nie pojmował, nie rozumiał też litości dla opuszczonej sieroty. Poszłam z tego domu z wielkim bólem serca. Wzięła mnie potem jedna przekupka, z której kramikiem siedziałam długo w Ostrej-Bramie, trzy lata prawie. Nie mogę narzekać, życie to było dobre; gdy wspomnę jeszcze, łzy mi się kręcą w oczach. Rano bywało, szłam z moim stołkiem i towarem, gdy jeszcze spało miasto, przychodziłam na pierwszą mszę do Ostrej-Bramy, której słuchałam często sama jedna, albo z kilku mleczarkami, potem szłam na swoje miejsce. U mnie były do sprzedania obrazki Najświętszej Panny i Świętych, małe książeczki do nabożeństwa, abecadła, szkaplerze, krzyżyki, paciorki, książeczki, szpilki, pierścionki mosiężne, medaliki — tyle pięknych rzeczy, którym się wieśniaczki idące i wracające z targu tak dziwiły!

Dzień wschodził, siedziałam na świeżem powietrzu, wśród ludzi, targowałam złotych kilka, miałam co jeść i byłam szczęśliwa, bardzo szczęśliwa! Ludzie, których tyle się u stóp Ostrej-Bramy zbiera, wszyscy się modlili, wydawali mi się pocziwymi i dobrymi.

Niejeden kupiwszy cośkolwiek, dał grosik dla biednej dziewczyny, kupowałam sobie mleka, i długo błogosławiłam go. Wieczorem, o mro-

ku, gdy tylko żebracy przychodzą modlić się u Ostrej-Bramy, szłam do domu. Tam przedłam albo pomagałam gospodyni. I sny moje wówczas swobodne były i wesołe. Nie raz pamiętam, widywałam we śnie N. Pannę z Panem Jezusem, która mi rzucała grosz na mleko, lub bułkę białą! Teraz nigdy mi się to nie śni, często i przez sen nie można się nawet poradować, kiedy na jawie serce pęka. Szczęśliwemu i we śnie szczęście, biednemu ły i przez sen.

Mój Boże, jak ja pamiętam te trzy wiosny u Ostrej-Bramy i te trzy lata. Zima tylko dokuczała trochę, bo nie było się czem okryć, trzeba było chuchać w ręce, tupać nogami, żeby się rozgrzać. Inne przekupki miały żar w garnkach, śmiały się, żem marzła, ja, kiedy było bardzo zimno, myślałam o wiosnie i o lecie, albowiem się modliła.

Raz, w końcu tych trzech lat, wieczorem, chora czegoś wróciłam do domu. Jesień to była chłodna, deszcz bijący z wrót, przemoczył mnie do nitki, bo miałam niedobre miejsce; gorzej jeszcze, pomokły szkaplerze i obrazki. Przekupka, zobaczywszy to, o mało mnie nie wybiła. Płakałam, nie wiedząc co począć; w nocy siedziałam i suszyłam po jednemu wszystko przed kominem, ale że ogień był z trzasek mokrych i więcej dymił, niż grzał, do ranka przyszło i już dzwonili na czwartą, gdy robotę skończyła. Ledwie się spać położyła, i usnęła płacząc, przebudziła mnie gospodyni z łajaniem, przypominając niedzielę i że chłopci rano bardzo na targ jadą, kazała zaraz iść z kramikiem do Ostrej-Bramy. — Mnie się spać chciało, tak, że padałam ze snu. Całą noc nie spałam, czułam się chorą, głowa ciążyła, nogi drżały, oczy się mrużyły, ale kto służy, musi słuchać — poszłam.

W ulicy jeszcze nikogo nie było, w Ostrej-Bramie nikogo, nawet przekupek co najrańiej siadały — zmrok i sen wszędzie, wszyscy spali, mnie tylko zasnąć nie dano. Usiadłam, płacząc na mojem miejscu i ciężkim snem, oparłszy się o mur, zasnęłam. Nie wiem jak długo spałam na moje nieszczęście... Obudziwszy się, mało nie umarłam z przestachu: — przedemną stał tylko goły kramik: paciorki, wstążki, obrazki, szkaplerze — wszystko zniknęło. O, mój Boże, języka nie mam na opisanie mojej rozpacz!...

Wolałabym była umrzeć; rzuciłam się na ziemię płacząc. Przekupki zaczęły śmiać się ze mnie — pobiegłam do obrazu Matki Boskiej i prosiłam jej o pomoc, o ratunek — Ona cudowna, mogła cud zrobić.

Nie widziałam, jak się pokaże przekupce i chciałam z początku uciekać, ale pomyślawszy, że ona mnie może o kradzież posadzić, że biedna ma troje dzieci a uboga, a ja powinnam przynajmniej odsłużyć, kiedy nie mogłam zapłacić, poszłam do niej, nie bez wielkiego strachu.

Przekupka, nie uważając na moje łzy, wybiła mnie, odarła z odzienią i wypchnęła z domu. Odszedłszy kilka kroków, usiadłam na kamieniu i płakałam; jakiś pan z panią szli ulicą, zaczęli do mnie mówić, rozpytywać się, a poszeptawszy coś między sobą, kazali mi pójść. Poszłam za nimi, dziękując Najświętszej Pannie. Ona to ich sprowadziła;— i to był cud dla sieroty.

Pani moja i pan nowy bardzo byli dobrzy ludzie, łagodni, poczciwi, pobożni; żyli z sobą przykładnie i zgodnie, a mnie nie jako sługę domu, lecz uważali jak sierotę, której czynili dobrze dla miłości Bożej. Dla czegoż tak krótko trwała spokojność, tak prędko wszystko się zmieniło! Tak dobrze było mi u nich! Ale na świecie, od wieków to powtarzają, długo być dobrze nie może. Naprzód pani umarła, po której płakałam gorzko; potem pan zaczął słabnąć, chorzeć, z żalu usychać i nawet przytomność tracić powoli.

Jak tylko dowiedzieli się o tem jego krewni, pospieszyli do niego, obsiedli oni, opanowali bezsilnego staruszka i całym domem trząść zaczęli. Wkrótce z pana stał się ich sługą, a płacz brał patrzeć, jak z nim nielitościwie się obchodzono, jak często wszystkiego mu brakło.

Kilka razy ujęłam się za starego pana, nie dałam rozrywać jego dobra i niszczyć; złąd gniew na mnie, pogrożki, a potem i zemsta. Słudzy obcych zmówili się na sierotę, i popełniwszy sami kradzież, jednogłośnie zwalili ją na mnie. Nie było dowodów żadnych. Obrażona podejrzeniem pobiegłam do pana z płaczem i skargą na krewnych. Chciał mnie bronić, ale nadbiegli, w oczach jego łajac mnie zaczęli, domagać się, aby mnie odprawił. Tyle krzykiem swoim sprawili na biednym, osłabionym starym, iż milczeniem na wszystko dozwolił. Nie miał siły się oprzeć. Płaczącą wyrzucono mnie za drzwi, wśród śmiechu, szyderstwa i najgrywań sług obcych. Ach, jakże mi się serce krajało, kiedym wychodziła z domu, w którym tak dobrze niegdyś ǳmi było, w którym rzucałam biednego starego pana, w ręku rozbójników! Lecz cóż począć było? Zabrawszy rzeczy, poszłam do Ostrej-Bramy, pod opiekę Matki Bożej...

Cały dzień tam przesiedziałam, całą noc — Pan widziałeś mnie i wiesz resztę.

Edward, który z ciekawością słuchał opowiadania Julii, powstał w tej chwili zadumany.

— Biedna sieroto!—zawołał—miałaś przeszłość ciężką, bez pociech, rodziny, opiekunów, rzucał cię łos z tułactwa w tułactwo. Mam nadzieję, że przyszłość lepsza będzie!

Julka nic nie odpowiedziała.

— Umiesz ty czytać? — zapytał po chwili Edward.

— Trochę.

— Cóżeś czytywała?

— Książki nabożne.

Chciał jeszcze coś do Julki powiedzieć, lecz ona rzekła po cichu:

— Dobranoc panu, już późno!

Obejrzał się Edward, ale dziewczynki już nie było przy nim, zniknęła w jednej z bram domu.

V.

Zwierzenie się jakiegokolwiek rodzaju jest wielkim węzłem; dwoje ludzi, obojętnych sobie wprzód, wiążą się czasem jednym słowem powierzonym tajemniczo, jednym wylaniem serdecznem, jedną powieścią o przeszłości. Edward uczuł się połączonym z tajemniczą sierotą, której los przeszły wiedział a przyszłości pomagał, ona także, choć z bojaźnią, rachowała trochę na jego opiekę. I nie samo opowiadanie dziewczynki tak ich połączyło. Wiedzieliśmy wprzód, że Edward zajął się nią przez litość, przez ciekawość, przez jałmużnę, przez uczucie jej niezwykłej piękności. Wiele więc rzeczy nie dało mu o niej zapomnieć. Ona nawzajem, pamiętała o nim, myślała, bo musiała mu być wdzięczną.

Stosunki ich z sobą, nosiły cechy szczególne, — z jego strony delikatność, jakiej w obcowaniu z niższymi nikt prawie nie czuje się obowiązany zachowywać, udany czy prawdziwy chłód i rozważa, bezinteresowność zupełna; z jej strony, bojaźliwe niedowierzanie, wdzięczność lękająca się wynurzyć i okazać, codzienna obawa, aby dobroczyńca nie zmienił się w charakterze i postępowaniu. Codzień się prawie widywali, codzień pytał ją o zarobek, o zdrowie Edward; ona zawsze bojaźliwie, trwożnie odpowiadała, każdym prawie śmielszym jego ruchem przestraszona.

Czego najbardziej, na widok pięknej dziewczynki doznawał Edward, to przykrego uczucia politowania, nad zaniedbanem jej ukształceniem. Zdawało mu się, był przekonany, że gdyby inny świat, inne wyobrażenie ją otoczyły, stałaby się czemś niewidzianem, istotą rzadką, łączącą w sobie wszystko, co tworzy ideał.

Witając ją z rana, dobranoc mówiąc wieczorem, przechodząc, poglądając przyzwyczał się Edward patrzeć na tę twarz tak wdzięczną i powziął coraz silniejszą myśl, aby dziewczynkę kształcić.

Czego nikt jej nie dał, tylko Bóg przy urodzeniu, to takt szczególny w postępowaniu, w ruchu, w mowie, jakieś przecucie szlachetno-

ści i przyzwitości, jakiś instynkt, który wiódł jej postępowaniem i językiem. Ten to takt najwięcej obiecywał Edwardowi, gdyż jest zawsze oznaką wielkich zdolności.

Pomyślał Edward o książkach, lecz przebiegłszy je wyobraźnią, przekonał się, że ci, którzy niesystematycznie kształcą się czytaniem bez wyboru, wprowadzić mogą w końcu odnieść stąd korzyści, ale też narażają się na niebezpieczeństwo. Kropelki prawdy pływają w książkach, zaprawione morzem fałszów i czczych dodatków, wyciskać je potrzeba, jak odrobinę farby z wielkiej ilości przygotowanego materiału. A ileż razy barwa wyjdzie nieczystą i zalaną mętami? Tak więc mimo wszystkich uwag ostrzegających, Edward zaczął namawiać Julcię, aby długie godziny próżnego życia spróbowała zająć czytaniem.

Naówczas, mówił do siebie, gdy się ta piękna dusza, śpiąca jeszcze w pączku, rozwinie, gdy rozkwitnie, cóż to za anioł będzie!

Ale Edward, jak wszyscy ludzie, którzy dogadzą sobie, nie pomyślał, jakie z tego ukształcenia niestosownego dla stanu jego wychowawcy wynikną następstwa; nie zapytał siebie o przyszłość, nie zastanowił się, czyli to będzie szczęściem dla Julci.

I jednego wieczora naprowadził rozmowę na książki. Szli właśnie ulicą od Ostrej-Bramy.

— Julko, zapytał, nie nudzisz się ty, siedząc dzień cały bez zatrudnienia za twoim kramikiem?

— Bez zatrudnienia? — podchwyciła. — A to pięknie! Przecież robię pończochę, muszę uważać na przechodzących, a do tego modłę się jeszcze.

— Są jednak godziny, gdy zajęcia niema, nie nudzisz się, nie czujesz potrzeby jakiego innego szlachetniejszego zajęcia?

— Mówiłam panu, że się modłę! — powtórzyła, nie pojmując o co chodziło.

— Nie zawsze jednak i modlić się można.

— Jakto? niezawsze? — zdziwiona podchwyciła.

— Juściż czasem, — rzekł Edward — są chwile...

— Doprawdy, nie rozumiem.

— Chciałbym, abyś czytała, będę ci dawał książki! — wybiorę je sam, powoli poznasz z nich świat lepiej, ludzi, Boga, wszystko...

— Bardzo dziękuję panu, bardzo dziękuję, ależ...

— Jednakże, — po chwili dorzuciła Julcia, — książki pisane dla tych, co już coś umieją, a ja nic nie umiem, to napróżno będę czytała, pewnie ich nie zrozumie.

— I na to jest sposób — rzekł młody opiekun — od łatwych przejdziesz kolejno do trudniejszych, od tych do trudniejszych jeszcze, trochę uwagi, a pojmiesz potem wszystko, bylebyś chciała.

— Chęci mi nie zabraknie, ale wątpię, czy co z tego będzie! A potem ja muszę pracować, ja nie mam czasu!

— Spróbuj jednakże!

— Kiedy pan radzisz...

— Ja tylko proszę...—Oto pierwsza książka, pod tytułem: „W imię Krzyża“, po niej dam inną.

Dziewczynka ukloniła się, podziękowała i szybko odeszła.

(D. n.)



Bóg tak chce!

Obrazy z czasów Wojen Krzyżowych.

Prorok fałszywy.

Od najdawniejszych czasów aż do dnia dzisiejszego, Arab był kupcem najczynniejszym, który, nie zważając na niebezpieczeństwa dalekich i uciążliwych podróży lądem i wodą, zawierał nieustannie z obcymi narodami stosunki, a z nich wielkie ciągnął zyski. Ruchliwość kupieckiej zawdzięczał Arab pałace świetne, świątynie wspaniałe, ściany drogiem kamieniami wysadzone, rzeźbę z kości słoniowej, wyroby sukna, naczynia złote i srebrne, łoża kunsztowne i tym podobne przedmioty.

Ludność pierwotna Arabii rządziła się obyczajem chwalebnym. Naczelnikiem plemienia był nie najstarszy, nie bogacz, ale ten, który rozumem i walecznością zdobył zaufanie spółbraci. Dlatego w każdej prowincyi arabskiej znajdowali się oddzielni książęta, starający się przedewszystkiem o najzupełniejszą niezależność. Bezgraniczne jednak umiłowanie wolności powodowało ustawiczne waśni, a nawet krwawe zapasy gmin bratnich. Na rozkaz wodza gromady, waleczni Arabowie, w niezliczonych szczepach, zupełnie od siebie niezależnych, ciągnęli przez stepy nieurodzajne. Turbany (zawoiste okrycia głowy) miały dla nich znaczenie drogiem kamieniami wysadzonych kołpaków; namioty — wartość murów i domów; miecze uważali za fortece, a utwory poetów za prawa. Mało jest narodów w świecie, któreby, jak Arabowie, pochłubić się mogły zachowaniem prawie bez przerwy swej wolności, poczynwszy od czasów najdawniejszych. Asyryjczycy i Medowie nie zabrali im nigdy piędzi ziemi; monarchowie perscy byli ich przyjaciółmi; Rzymianom nawet nie udało się podbić ich krainy.

Co do religii, pierwotnie uznawali Arabowie jednego, Najwyższego Boga, ale z biegiem czasu wpadli w gruby poganizm; okrom Boga czcili gwiazdy, które uważali za mieszkania Aniołów i innych duchów, rządzących światem pod opieką bóstwa najwyższego. Wszelkie zjawiska przyrody i zmiany pór roku przypisywali wpływowi gwiazd, wierzyli nawet, że od gwiazd losy człowieka zależą. Miasta Saba w Jemenie i Beisamira nad morzem Czerwonym posiadały świątynie słońca, a było jeszcze siedm słynnych świątyń, siedmiu planetom poświęconych. Mniemali dalej Arabowie pierwotni przed Mahometem, że dusze złych ludzi dopiero po upływie 9 tysięcy wieków uzyskać mogą przebaczenie; modlili się trzy razy dziennie: przed wschodem słońca, w południe i o zachodzie słońca; pościli trzy razy do roku: trzydzieści, dziewięć i siedm dni; składali bóstwom ofiary, paląc je całkowicie; nie jedli grochu, czosnku i kilku innych roślin. Odbywali pielgrzymki do miejsca w pobliżu miasta Harrani w Mezopotamii; okazywali cześć dla świątyni w Mekce i dla piramid (grobow monarchów egipskich), gdyż mniemali, że były one grobami Seta i jego dwóch synów, Enocha i Sabiego, których uważali za założycieli swojej religii. Bóg Najwyższy, Stwórca i Pan świata, zwał się u nich *Allah Taala* (Bóg bardzo wysoki); bóstwa mniejsze nosiły nazwy: *al Hahat*, *al Uzza* i *Manalh*. Oprócz wymienionych, mieli jeszcze wiele innych bożków, a chociaż naród cały czcił je, to jednak każda gmina miała zwykle jedno bóstwo w szczególnej poszanowaniu. Każdy ojciec rodziny posiadał swoich bogów domowych, a w Kaabie i w okolicach Mekki było 360 bożków, przedstawiających liczbę dni w roku arabskim. Niektóre bóstwa przedstawiane były w postaci zwykłych kamieni; ten zabobon, wprowadzony przez potomków Izmaela, tak się z czasem rozpowszechnił, że Izmaelici czcili wszystkie piękniejsze kamienie, spotykane w drodze. Niektórzy Arabowie nie wierzyli w życie przyszłe, inni zaś wierzyli. Ci ostatni, umierając, kazali przywiązywać do swego grobu wielbłądy, żeby po zmartwychwstaniu nie potrzebowali odbywać wędrówki pieszej.

Wskutek częstych stosunków z Żydami, Arabowie dużo wierzeń religijnych i zwyczajów przejęli od Żydów. Mekka zawdzięczała swoją wielką powagę zwierzchnictwu religijnemu, którego źródłem była świątynia Kaaba, związana także z religią Żydów. Wierzyli mianowicie Arabowie, że Kaabę wybudował Adam, odnowił Noe, a gdy znów uległa zniszczeniu, podźwignął ją Abraham, który otrzymawszy rozkaz Boży, przybył umyślnie z Syrii do Arabii, żeby wraz z synem Izmaelem, znoszącym do budowy ziemię i kamienie, odbudować prastarą świątynię. Oprócz tego Kaaba miała jeszcze dwie inne siły przyciągające: studnię *Zemzem* i *Kamień Czarny*. Arabowie byli i są przeko-

nani, że studnia Zemzem jest tem samem źródłem, które Bóg wydobył z pod ziemi dla napojenia Izmaela, gdy matka jego, Hagar, błędziła z nim po pustyni. Kamień Czarny zaś miał przynieść Archanioł Gabriel Izmaelowi, gdy pomagał Abrahamowi przy budowie Kaaby. Ów kamień wyszedł z raju jak mleko biały, a z czasem stał się czarnym jak serca grzeszników, którzy się go dotykali.

Wpływ Żydów na Arabów zwiększał się ciągle, Żydzi bowiem, zmuszeni do opuszczania kraju własnego przez ucisk Asyryjczyków, Greków i Rzymian, znajdując schronienie wśród Arabów, szerzyli między nimi wiarę własną. Arabia już była przesiąkniętą judaizmem, gdy wiara chrześcijańska zaczęła się rozpowszechniać. Są wskazówki, że Ś-ty Bartłomiej i Ś-ty Pantenus głosili wiarę Chrystusa w Arabii. Dowodzi tego, między innemi, wyraz *Abdelmazih*, używany w języku arabskim przed Mahometem, a znaczący: Sługa Chrystusa. Podobno nawet już za czasów Mahometa, znaleziono w Kaabie, pomiędzy rozmaitemi bożkami, wizerunki Pana Jezusa i Matki Bożej. Lecz stan Arabii nie sprzyjał rozszerzeniu się wiary chrześcijańskiej, przeciwnie, wszystko tam sprzyjało krzewieniu wstrętne go bałwochwalstwa.

Arabowie starożytni nie posiadali wiedzy, ich nauki były fałszywe, na gruncie zabobonów wyrosłe. Wieszczybiarstwo, czary, wiara w sny i zgoła wszelkie gusła miały ojczyznę swoją w Arabii. Strzały, lot ptaków, krakanie kruka, położenie gwiazdy — wszystko to przejmowało Araba trwogą lub nadzieją. Mnóstwo stąd płynęło nadużyć, że tylko wspomnimy morderstwo dzieci, zakopywanie żywcem dziewcząt nowonarodzonych i związki kazirodcze, które zostały uprawnione zwyczajem.

Arabowie chętnie zajmowali się dziejami i utrzymywaniem rodowodów, chętni się bowiem nadzwyczaj starożytnością swoich rodów. Znajomość pisma posiadli znacznie później niż inne ludy. Odnaczali się siłą, wytrwałością, zręcznością niezwykłą, giętkością mięśni, a to dzięki życiu koczowniczemu, pełnemu przygód i niebezpieczeństw. Pustynia zaostrzyła im umysły, a zwady rodów wyrobiły w nich czujność, odwagę i stanowczość. Arab mało potrzebuje, to też umysł jego jest świeży, wolny, pełny hardego poczucia samodzielności. Ruchliwy duch Araba przejawia się zarówno w czynie, jak w słowach. Dumą najwyższą jest dla niego mowa, malownicza, dźwięczna, obrazowa. Subtelność i czystość mowy czaruje Araba; uważał on ją zawsze, po religii, za swoje dobro najwyższe, dlatego też przedewszystkiem ćwiczył się w krasomównie. W wielkiej cenie była zawsze u Arabów poezya. Twórców pieśni otaczali czcią i uznaniem, uważali za chlubę rodu.

Z innych cech Arabów zaznaczyć trzeba wysokie pojęcie honoru, dumy szlachetnej, godności, której strzeżenie troskliwie jest obowiązkiem u nich najświętszym. Waleczność stanowiła zaletę Arabów najcenniejszą, z którą łączył się staro-wschodni zwyczaj opieki sąsiedzkiej i zemsty, przechodzącej z ojca na syna, jako obowiązek najszlachetniejszy i najświętszy. Namiętność szatańska powodowała gorącą naturą Araba zawsze i wszędzie, sprawiała, że w charakterze Araba jest mnóstwo sprzeczności bardzo jaskrawych. Arab szlachetny nie tylko musiał być bardzo odważnym, lecz jednocześnie wspaniałomyślnym, hojnym, słownym, a nadewszystko gościnnym. Pan namiotu w otwarte ramiona przyjmował gościa, dzielił się z nim wszystkim, co posiadał, a podczas nocy gwiazdzistej wtajemniczał go w swoje sprawy rodzinne, opowiadał czyny bohaterskie swoich przodków, wychwalał przymioty swoich rumaków.

— Niewiasto — mówił do żony — przygotowałaś mi pokarm, więc znajdź mi towarzysza, bo przecież sam jeść nie mogę. Zawołaj sąsiada lub podróżnego, żeby o mnie, gdy umrę, źle nie mówiono. Jak może człowiek nasycać się, kiedy sąsiad głód cierpi? Lepsza śmierć, niż dostatek skąpca, który wędrowcowi znużonemu pozwala przejść bez spólcucia.

Mimo jednak tych przymiotów, Arabowie są okrutni, mściwi, podstępni, zabobonni, zapalczywi, cheiwi wszelkich nadzwyczajności, łatwo wierzą baśniom; nadto skłonni są do wojny, dzikości i rabunku. Naród, utworzony z ludzi tego rodzaju, to jest stanowiących dziwną mieszaninę wad i zalet, mieszaninę, w której usposobienie ogniste i fantazja przeważa, łatwo zręczny filut w pole wyprowadzić może, a tembardziej człowiek, który wskutek choroby umysłu uroił sobie, że ma do spełnienia jakieś posłannictwo. Tak się też stało z Arabami. Uwiódł ich Mahomet, jak zaś się to stało, opowiemy niebawem.

(D. c. n.)



Nowiny z Częstochowy.

O F I A R Y:

Na klasztor Jasnogórski.

B. Bożyk. w Leo Minn. rb. — 90 kop.

Na biednych do uznania Redakcyi.

F. B. B. w Kurh. rb. — 20 kop.

Jahoł. w Łuk. „ 1, 95 „

J. Rożn. w Krasn. „ — 70 „

Z. Kors. w Biel. „ 1 — „

Na kościół w Taszkencie.

M. Róż. Ch. rb. 2, 50 kop.

Na kościół w Tobolsku.

M. Róż. w Ch. rb. 2 — kop.

Na kościół Zbawiciela w Kielcach.

M. Róż. w Ch. rb. 1, 50 kop.

Na Misye Katolickie w Afryce.

M. Róż. w Ch. rb. 2 — kop.

Na kościół Ś-tej Rodziny w Częstochowie.

L. Rut. w Gr.	.	.	.	.	.	.	rb.	1	—	kop.
Stoj. w Mił.	.	.	.	.	.	.	„	3,35	„	„
Al. Kot. w Miń.	.	.	.	.	.	.	„	3	—	„
J. Orł.	.	.	.	.	.	.	„	3	—	„
M. Skowr.	.	.	.	.	.	.	„	3	—	„
J. Strzałk.	.	.	.	.	.	.	„	3	—	„
Em. Szac.	.	.	.	.	.	.	„	1	—	„
Wit. Kop.	.	.	.	.	.	.	„	1	—	„
Em. Maz.	.	.	.	.	.	.	„	1	—	„



Nowiny z daleka i z bliska.

Rzym. Bardzo solennie obchodzono w Watykanie uroczystość Ś-go Józefa, gdyż Oblubieniec Niepokalanej Dziewicy jest także Patronem Ojca Ś-go. Nie zapomniał o dniu imienin Namiestnika Chrystusa Pana ziemi. Jego Świętobliwość otrzymał mnóstwo życzeń z przeróżnych stron. Kardynałowie i duchowieństwo wyższe winszowało Mu osobiście, a ceremonia ta miała nastrój bardzo serdeczny, prawdziwie rodzinny. Pius X zawsze rozłącza dokoła Siebie dobroć niewypowiedzianą i uprzejmość, to też wszyscy zwracają się do Niego z uwielbieniem i czcią synowską. Już dzisiaj toczą się narady nad obchodem jubileuszu papieskiego, to jest nad obchodem pięćdziesięciolecia kapłaństwa Jego Świętobliwości. Wprawdzie termin tego jubileuszu przypada dopiero za trzy lata, gdyż dopiero we wrześniu 1908 r. minie lat 50 od chwili, w której młodziutki wówczas Józef Sarto otrzymał święcenia kapłańskie; lecz związek Włoskiej Młodzieży Katolickiej, pragnąc jak najsolenniej uczcić tę rocznicę, już teraz przygotowuje się do niej.

= Na ostatniem zebraniu Ś-go Kolegium, Ojciec Ś-ty wypowiedział mowę następującą:

„Już raz ubolewaliśmy w Waszem gronie nad tem, że we Francyi wciąż trwają dążności, zwrócone na szkodę religii. Nasze skargi jednak nie płynęły z zamiaru rozwiązania umowy, zawartej dla dobra ogólnego pomiędzy Stolicą Apostolską, a rządem francuskim z początkiem ubiegłego stulecia, ale z tego powodu, że we Francyi właśnie wciąż podnoszoną jest myśl rozdziału władzy cywilnej od Kościoła. Myśl ta nie schodzi z porządku dziennego, pomimo, że z całą gorliwością, wszelkimi środkami, które uważaliśmy za dobre, jeszcze w ostat-

nich czasach staraliśmy się zapobiedz temu wielkiemu nieszczęściu; pomimo, że powzięliśmy silne postanowienie i nadal to czynić, albowiem dalecy jesteśmy od zamiaru niespełniania obowiązków, nałożonych na nas przez zawarte traktaty. Niestety! rzeczy tak daleko za-
szły, że trzeba już przewidywać rychłą katastrofę...

Żalem głębokim napęła nas ta okoliczność, że przeciw Kościołowi występuje naród francuski, który kochamy całą duszą. Ponieważ każda krzywda, wyrządzona Kościołowi, oddziaływa zawsze i wszędzie również na życie publiczne, przeto potrzeba, aby nie tylko katolicy Francji, dla których obrona Kościoła powinna być świętym obowiązkiem, ale wszyscy zresztą, którzy miłują spokój w państwie, starali się usilnie ochronić ojczyznę od tak wielkiej klęski.

Serce nasze jest też głęboko zasmucone z powodu strasznej wojny, która od tak dawna sroży się na dalekim Wschodzie, szerząc przerażające mordy i zniszczenia. Jako Namiestnik Boga, który jest źródłem wszelkiego pokoju, pragniemy gorąco, aby Opatrzność napęliła panujących i narody pragnieniem pokoju. Ludzkość przygniatają tysiączne, różnorodne troski, więc nie należy powiększać ich okrucieństwami wojny.

W dalszym ciągu mowy zaznaczył Ojciec Ś-ty z zadowoleniem, że Brazylia, Peru i Boliwia (państwa Ameryki południowej), przedstawiły swe spory graniczne sądowi polubownemu, na którego czele stoi nuncjusz papieski; wyraził ubolewanie, że Rzeczpospolita Ekwador (również w Ameryce południowej) rozpoczęła walkę z Kościołem; wreszcie wspominał o jubileuszu dogmatu Niepokalanego Poczęcia.

= Jego Świętobliwość udzielił raczył posłuchania Zdzisławowi księciu Czartoryskiemu z Sielca w Wielkim Księstwie Poznańskim. Miało ono charakter serdeczny, gdyż Ojciec Ś-ty ceni ludzi tej miary, jakim jest książę Zdzisław, człowiek prawy, zacny, światły, Kościołowi i rodakom duszą całą oddany. W czasie posłuchania, Ojciec Ś-ty szczegółowo wypytywał księcia o stosunki religijne w Poznańskim, gdyż bardzo się troszczy o tamtejszy lud polski.

= Odkryło się niedawno uroczyste otwarcie groty, urządzonej w ogrodach Watykanu, a ludzaco przypominającej grootę cudowną w Lourdes. Budowę tej groty i bazyliki rozpoczęto jeszcze za życia Papieża Leona XIII, ukończono zaś według wskazówek Piusa X, pod kierunkiem biskupa Schoepfera z Torbes i biskupa Radini Tedeschi. Na uroczystość otwarcia i poświęcenia groty przybyło do Rzymu wielu pielgrzymów francuskich, których Ojciec Ś-ty przyjmował też na posłuchaniu, darząc, jak zwykle, słowami ojcowskiej troskliwości, zachę-

cając do wytrwania wśród ciężkich chwil, jakie obecnie Kościół przechodzi we Francji. Poświęcenie groty odbyło się solennie, z uczestnictwem Ojca Ś-go oraz mnóstwa osób duchownych i świeckich. Kapela i chóry papieskie wykonały utwory religijne, pod kierunkiem księdza Perosiego.

= W Rzymie przechowuje się piękny zwyczaj, polegający na tem, że księża, którzy mają głosić nauki wielkopostne, zgromadzają się przedtem na posłuchaniu u Ojca Ś-go, aby od niego otrzymać odpowiednie wskazówki i błogosławieństwo. W roku bieżącym, zgromadziło się w tym celu około 60 kapłanów z rozmaitych parafij rzymskich. Według przyjętego zwyczaju, złożyli oni najprzód wspólnie, klęcząco, wyznanie wiary, a następnie Papież w zwięzłych słowach nakreślił im cały program nauk wielkopostnych. Jako doskonały wzór do naśladowania wskazał Ś-go Jana Chrzciciela, który ongi głosił nieustrudzenie Słowo Boże i do pokuty wzywał. Treścią nauk wielkopostnych ma też być wezwanie do pokuty, a obok tego kaznodzieja powinien przypominać o obowiązkach stanu, o konieczności rozważania prawd wiecznych. Sposób głoszenia nauk powinien się odznaczać prostotą i słodyczą, gdyż tą drogą zyskuje się łatwiej dusze ludzkie, łatwiej zwraca się je do Boga. Po udzieleniu tych wskazówek, Jego Świątobliwość udzielił kaznodziejom błogosławieństwo i każdemu dłoń do ucałowania podawał.

Galicja. Jego Dostojność arcybiskup lwowski, ksiądz Bilczewski, ogłosił niezmiernie doniosłej treści List Pasterski do młodzieży szkół średnich. List ten rozpoczyna się słowami Mickiewicza: „Młodości! ty nad poziomy wylatuj!”—następnie Jego Dostojność powiada: „Chciałbym z każdym z was, młodzi moi przyjaciele, pomówić z osobna, jak ojciec, jak przyjaciel, boście wy przecież liczną i ukochaną część mojej dycezyi, kwiatem i szlachetną dumą Kościoła, a zarazem całą nadzieją narodu. W was kraj nasz, skołatany burzami, chciałby nagrodzić sobie nieszczęścia i błędy. Od was oczekuje przypływu nowych, zdrowych sił. Ale jest rzeczą niemożliwą dla mnie przystąpić do każdego z was osobno, więc napisałem to orędzie pasterskie, w którem przez kilka niedziel będę razem z wami zastanawiał się nad sprawą dla was najważniejszą, bo nad pytaniem: czem jest życie? jakie w niem mamy do spełnienia zadanie? jaki jego cel ostateczny? O zdrowie mojego narodu mi idzie, bo całość dobra tylko z dobrych części może się złożyć.

W dalszym ciągu listu, ksiądz arcybiskup rozważa fałszywe zasady życia, bezwyznaniowość, fałszywe pojęcia, rozsiewane przez złe książ-

ki i czasopisma; wyjaśnia, czem być powinno życie chrześcijańskie, do czego powinien dążyć młodzieniec, co umiłować, co obrać za cel zabiegów swoich. „Uczcie się wszystkiego — są słowa księdza arcybiskupa — co dobre, ale przedewszystkiem starajcie się o nabycie gruntownej wiedzy religijnej, bo człowiek kocha i ceni tylko to, co poznał jako prawdziwie wielkie, święte i wzniosłe. Nic bardziej religii nie szkodzi, jak powierzchowna jej znajomość. Głęboka wiara i czystość obyczajów, to jakby dwa skrzydła, na których dusza wznosić się zdolna do wyżyn poświęcenia. Odbierz je młodzieńcowi, a będzie bez nich jak ptak, któremu wyłupiono oczy i podcięto lotki. Silny charakter, to zawsze człowiek pracowity, umartwiony i czysty. Przeciwnie — nieczystość, to największy wróg jednostki i całego społeczeństwa. Wypiszcza ona organizm, wygryza nieraz ciało aż do kości, osłabia umysł, przytępia pamięć, rozkłada wolę i sumienie.“ W końcu ks. arcybiskup ostrzega młodzież, iżby nie goniła za niewłaściwymi i niezdrowymi rozrywkami, zaleca jej nadto wytrwanie w dobrych postanowieniach.

Z Ameryki. Gdyby nie różne przeszkody, Kościół rzymsko-katolicki, liczący dzisiaj w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej dwanaście milionów wyznawców, liczyłby ich wiele więcej. Łączenie się z innowiercami, zobojętnienie religijne — małżeństwa mieszane, propaganda ogromna sekt przeróżnych, wpływają ujemnie na szerzenie się Kościoła prawdziwego, Chrystusowego.

Prace misyjne, podejmowane przez kapłanów, siostry zakonne, a wspierane przez ogół katolicki błogie wydają owoce. Stany zjednoczone Ameryki Północnej mają 1 kardynała, 14 arcybiskupów, 76 biskupów, wikaryuszy apostolskich i delegata apostolskiego, oraz 11,000 kapłanów świeckich i zakonnych.

Polskich kapłanów liczą przeszło 400, zaś kościołów polskich około 500, ludności polskiej blisko półtrzecia miliona. Oprócz szkół publicznych, każda większa parafia ma szkołę parafialną, w której dzieci uczą się w języku ojczystym przedmiotów. Lud utrzymuje kapłanów i szkoły. Oprócz władz duchownych rząd się nie miesza do spraw kościelnych.

Negrów (czarnych ludzi) pomimo że dokładnie nie można liczby oznaczyć, liczą 4,569,165 dusz. Z tego katolików 16,715, kościołów mają 27 i kapłanów 27. Dzieci ochrzczonych 4,365, dorosłych 434. Szkół 79. Dzieci w szkołach 4,260. Mają szpital Ś-go Józefa, Ś-jej Elżbiety i Dobrego Pasterza. Mają przytułek dla dzieci i szkołę rzemiosł. Schronienie dla chłopców, dla dziewcząt, dla starców dom Dobrego Pasterza i zakład dla głuchoniemych.

Pracują w tych misjach: siostry miłosierdzia Ś-ej Familii, Ś-go Józefa, Ś-go Franciszka, Opatrzności Boskiej, Dobrego Pasterza, Loretanki, Karmelitanki, Szarytki i Siostry Najświętszego Serca Jezusowego.

Indyan zamieszkuje Stany Zjednoczone Ameryki Północnej około 270,000, z tej liczby około 100,000 jest znanych, zaś nawróconych do świętego naszego Kościoła podają 26,002. Kościołów mają 140. Dzieci ochrzczonych 3,078, dorosłych 210. Szkół 37. Dzieci do szkół uczęszczających 2,283. Tam pracują Ojcowie Jezuici, Oblaci, Franciszkanie i Bracia Lamonais. Z Sióstr: Franciszkanki, Ś-go Ducha, Słowa Wcielonego, Niepokalanki, Szaretki i Najświętszego Sakramentu.

W roku 1904 katolicy amerykańscy wszystkich narodowości złożyli na cele misyjne 87,175, 18 czyli 174,350 rubli srebrem i kop. 36. Że zaś rząd Stanów Zjednoczonych ofiarował 38,622 i 7 c. Procent od wkładów 628, 92; Towarzystwo ofiarowało 20,823 56; Inna ofiara dana 18 4; z 1903 r. pozostało w banku 15,940 71, więc razem na cele misyjne wydano 163,208 dolarów i 48 centów, czyli 326,416 rubli 96 kop.

Z powyższych danych wynika, że w ludzie amerykańskim jest wiara, o czym świadczy ofiara.

ks. Józef Dudkiewicz.

Sprostowanie. Od Szanownego księdza J. Charszewskiego, którego piękny utwór poetycki „Pieśń pielgrzymia“ dla pątników, dążących do Żuromina, drukowaliśmy w tomie lutowym „Dzwonka Częstochowskiego“, otrzymujemy następujące wyjaśnienie:

Proszę uprzejmie o pomieszczenie w najbliższym zeszycie „Dzwonka Częstochowskiego“ małego sprostowania. Mianowicie w wierszu ostatnim strofy 4-ej: „Chłubi się też nim rzymska Ara-Caeli“, zawiera się błąd faktyczny, który sam sprostowałem w swojej książeczce p. t. „Kościół i obraz cudowny Matki Boskiej w Żurominie. Kielce. 1904.“ Na stronie 9 czytamy: „Nie tak dawne czasy, kiepy Żuromin opasany był podwójnym pierścieniem borów i łąk, przyczem łąki stanowiły pierścień wewnętrzny, jakoby obszerną polanę, na której gruby zwierz trawożerny szukał pożywienia. Stąd i pierwotna wieś, w obrębie tych łąk położona, zwała się początkowo Żeromin (żer); stąd ojciec Martynian Możejewski, dawny reformat żuromiński, w swojej książeczce o bractwie Trójcy Ś-ej przy kościele w Żurominie, wywodzi, że dlatego podobizna obrazu Matki Boskiej Żuromińskiej, znajdująca się, jakby w kościele Ara-Caeli w Rzymie, nosi nazwę: „Beatissima Virgo Maria de Pascua“ Najświętsza Panna Marya z Pastwiska. Wygląda to, jako bardzo prawdopodobne, ale w rzeczywistości nie jest prawdziwe. Za pośrednictwem łaskawem p. Maryana Bartynowskiego, krakowianina, który żywo zajmu-

je się wszystkim, cokolwiek dotyczy Matki Boskiej, zwłaszcza Jej czci w kraju naszym, dowiedziałem się, że nietylko w pomienionym kościele Ara-Caeli, lecz w ogóle w żadnym z kościołów rzymskich obraz Matki Boskiej Żuromińskiej zgoła niema. Natomiast, nie w Ara-Caeli, lecz w kościele Ś-go Sergiusza w Rzymie znajduje się podobizna obrazu Matki Boskiej *Żyrowickiej* i obraz ten rzeczywiście ma napis włoski: *del pascolo*, co znaczy właśnie: z pastwiska. Widocznie więc, wskutek podobieństwa brzmień: *Żuromin* i *Żyrowice*, nazwy tych dwóch różnych miejscowości pomieszano i to, co się odnosi do Żyrowic, przypisano Żurominowi. Przykro nam, zapewne, wyrzec się miłej i pochlebnej wiary, jakoby podobizna obrazu żuromińskiego znajdowała się w Rzymie; wszakże lepiej jest posiadać prawdę, choć przykrą, aniżeli wierzyć w to, co miłe, ale nieprawdziwe.“

Z tego tedy powodu przerobiłem dwa drugie wiersze strofy 4-ej, tak:

Liczne obrazki zdjęli z niego ludzie

I wieść roznoszą o Maryi cudzie.

Dodam tutaj, że, zainteresowany kopią Madonny Żyrowickiej w kościele rzymskim Ś-go Sergiusza, żadną miarą samegoż tego kościoła znaleźć w Rzymie za bytności tam swojej w lecie 1904 r. nie mogłem, lubo miałem bardzo kompetentnego przewodnika w osobie kapłana ze Śląska, Salezjanina, znającego Miasto Wieczne doskonale.

ks. I. Ch.



Wśród ciszy nocnej.

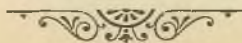
Wśród ciszy nocnej duch mój się wrywa
Ku Tobie, Boże!
Ból mój — Twa jeno ręka miłościwa .
Ukoić może.

Krzyk mego serca nie znalazł wśród ludzi
Bratniego echa,
I już mię dzisiaj żadna tu nie złudzi
Ziemska pociecha.

Bo mi tak wcześniej bole, co najkrwawsze
Poznać tu dano,
Żem już na ziemi pożegnał na zawsze,
Zorzę świetlaną.

W przyrodzie ciemność, lecz minie noc głucha,
Zabłysną zorze..
Achl oświeć także głębie mego ducha,
Wszechmocny Boże!

Br. W. Korotyński.



Od Redakcyi.

Czcigodnym księżom: ks. dziek. P. Andrusz. w Ow., ks. J. Aleks. w Owr., ks. A. Zarz. w Kotusz., ks. J. Skin w Kieturwłokach, ks. L. Żelaw. w Igoł., ks. Al. Ślap. w Łańc. oraz Wnym P. P.: M. Klem. w Albie i A. Pęch. w Chod. za życzenia składamy najszczerze, z głębi serca płynące „Bóg zapłać!“

W-nemu P. M. Rat. w Dźwińsku. Rb. 6 kop. 5 otrzymaliśmy. Książkę wysłamy, jak tylko będzie gotowa.

W-nemu P. B. Brzes. w Gor. Premium obecnie jeszcze nie gotowe. Wysłamy po wykończeniu.

Szanownemu ks. J. Buterl. w K. Rb. 4 otrzymaliśmy dnia 30 grudnia.

W-nemu P. Ad. Wit. w Sos. Tom lutowy wysłany d. 15 marca.

Czcigodnemu ks. kan. I. Dęb. w Paryżu. Przesyłka doszła. Dzięki serdeczne za łaskawą pomoc. Frc. 7,50 zapisane na dobro rachunku Czcigodnego ks. kanonika.

W-nemu P. Fr. Głos. w L. Na prenumeratę dla W-go ks. Fibi-cha pozostało z roku zeszłego rb. 2 kop. 10.

Szanownemu ks. prob. A. Dak. w Parz. Rb. 4 otrzymaliśmy, — dziękujemy. Za rok zeszły należało się nam jeszcze rb. 2 kop. 10.

W-nemu P. E. Sokolow. w Wiaźmie. Tom lutowy wysłaliśmy Panu, jak i innym Prenumeratorom, dnia 15 marca, z przyczyn od nas niezależnych. Wiele pism w tym czasie wcale nie wyszło.

W-nemu P. W. Stan. w Prus. Rozmiarów książki obecnie nie możemy Panu podać, gdyż jeszcze nie jest gotowa. Przesyłka jednego egzemplarza wyniesie 30 kop., dwóch egzemplarzy — 50 kop.

Szanownemu ks. J. Szym. w Tel. Prenumerata opłacona do 1 stycznia 1907 roku.



Jego Świętobliwość Papież Pius X

„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI” 12 dużych tomów rocznie

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE pod redakcją ks. Józefa ADAMCZYKA.

Nie znaleźlibyśmy innych słów na wyrażenie zadań, które sobie redakcja „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO” postawiła, nad poniżej zamieszczone w pięknym wierszu księdza Pawła Korwina-Kamieńskiego, kanonika katedralnego Łucko-żytomierskiego:

„Dzwonku Częstochowski” dzwoni,
Święte echa roznieś w dal,
Z szumem wiatru, z szumem fal
Od pokuszeń chmur nas broń!
„Dzwonku Częstochowski”, dzwoni,
O Maryi cudach głos,
O Jej łaski dla nas proś,
Cnót Jej wdzięczną roznieś woń!
„Dzwonku Częstochowski”, dzwoni,
Głos Maryi chwałę w świat,
A ojczyźnej ziemi szmat
Usną ku niej wzniesie dłoń!..

Tak, na chwałę Najświętszej Maryi Panny, która swój ziemski tron na Jasnej-Górze w Częstochowie sobie obrała, na cześć Tej Królowej Nieba i ziemi pragnie „Dzwonek Częstochowski” — jak za lat poprzednich wdzięcznie i serdecznie dzwonić, aby wróżyć wiernym Czciicielom Maryi dobrą przyszłość, nieść słowa pociechy i ukojenia, aby tak w pałacu, jak w ubogiej chacie być droгим gościem, wnosić błogosławieństwo i łaskę Bożą.

Za zbożną pracę redakcja „Dzwonka Częstochowskiego” zaszczycona została błogosławieństwem Ojca Świętego Leona XIII i następcy Jego najmiłościwiej dziś panującego papieża Piusa X, a także najdosłojniejszych pasterzy naszych księży biskupów. To wielkie dobrodziejstwo duchowe spływa nie tylko na redakcję i jej współpracowników, lecz w równej mierze i na wszystkich czytelników „Dzwonka Częstochowskiego”.



Ojciec Święty Leon XIII błogosławi wydawnictwo „Dzwonka Częstochowskiego”.



Kościół Świętego Piotra w Rzymie.

Nie możemy się też powstrzymać, aby nie przytoczyć tutaj wielce łaskawego dla nas listu Jego Ekscelencyi księdza Stanisława Zdzitowieckiego, biskupa Kujawsko-Kaliskiego, z którego dyecezyi „Dzwonek Częstochowski” w świat wychodzi.



Jego Ekscelencja Ksiądz Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki, biskup Kujawsko-Kaliski.

Szanowny Księżu Redaktorze!

Każdemu wiadomo, jak wielką jest potrzeba pism peryodycznych, któreby dawały duchową i społeczną strawę. Zasady bowiem i poglądy w pismach zawarte powoli wsiąkają w umysły i urabiają serca czytelników. To też uznanie Ci się należy, Szanowny Księżu Redaktorze, za zbożną Twoją pracę w „Dzwonku Częstochowskim”, za rozsiewanie zdrowego ziarna na roli rodzin chrześcijańskich, dla których na wzór i obronę podajesz Najświętszą Bogarodnicę Maryję.

Że praca Twoja była potrzebna, świadczy poczytność „Dzwonka Częstochowskiego”.

Kształć więc umysły i urabiaj serca, ufny w łaskę Bożą, opiekę Maryi i pomoc współpracowników, których wyszukiwać z pewnością nie potrzebujesz.

Zapewniając o swej dla „Dzwonka Częstochowskiego” życzliwości, zasyłam pasterskie błogosławieństwo Tobie, Szanowny Księżu Redaktorze, Współpracownikom i Czytelnikom.

(podpisano) Ks. Stanisław Zdzitowiecki
Biskup Kujawsko-Kaliski.

Włocławek, d. 2 Lutego 1902 r

Te wysokie dobrodziejstwa, odznaczenia i uznanie osób, kierujących sprawami Bożemi na ziemi, z zarazem wielką poczytność „Dzwonka Częstochowskiego”, jaką się cieszy wśród licznych i szerokich warstw społecznych, uważamy za niezbitą dowód łaski Matki Boskiej Częstochowskiej, Orędowniczki naszej i Opiekunki.

Kongres ku czci Maryi, Matki Zbawiciela Świata, odbyty we Fryburgu, gdzie zgromadzili się dostojnicy Kościoła z całego świata katolickiego, przyznał redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego” wysokie odznaczenie, t. j. medal złoty z wizerunkiem Niepokalanej Panienki.

O ile te tyle zaszczytne odznaczenia skromnem i wdzięcznem przyjęliśmy sercem, o tyle nie mniejszą radością przejmują nas ciągle dowody miłości ze strony naszych Czytelników, których liczba wraasta z dnia na dzień.

Listy te, najczęściej twardą, spracowaną pisane ręką, są dla nas najmiłszą zapłatą za trudy i najmiłszą lekturą. Jak u źródła w dzień skwaru, tak można orzeźwić dacha, czytając te korespondencye, pełne niezgłębionej miłości Bożej i bliźniego, hartu i męstwa iście chrześcijańskiego, wiary i ufności w miłosierdzie Boże.

Każdy z tych przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego” radby, aby jak najdalej i najszerzej głos Jego rozbrzmiewał i każdy pragnąłby jak największego rozpowszechnienia pisma na cześć i chwałę Matki Boskiej Częstochowskiej poświęconego. O, bo nie wszyscy jeszcze ten głos od stóp Jasnej-Góry rozbrzmiewający — słyszą... A głos to krzepiący, który koi bóle, wzywa do zgody braterskiej, wskazuje drogę do najwyższego szczęścia — zbawienia wiecznego...

Wszyscy więc, którzy słyszycie ten dzwon Maryi, Matki Bożej, w cudownym obrazie na Jasnej-Górze w Częstochowie amilowanej, nie bądźcie nań głusi!..

Przyjmijcie w progi swoje „Dzwonek Częstochowski”, jako dobrego przyjaciela i doradcę, zalecajcie to pismo innym, a spełnicie przez to czyn dobry, który Bóg pobłogosławi, — przyczynicie się, jako dobre dzieci, do rozpowszechnienia czci i chwały Najświętszej i najlepszej Matki naszej, Królowej Nieba i Ziemi.



Medal złoty, którym nagrodzono redakcję „Dzwonka Częstochowskiego” na kongresie ku czci Maryi, Królowej Niebios, odbytym we Fryburgu.



U STÓP JASNEJ-GÓRY.

„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI“

✱ w roku 1905 zawierać będzie:

Kościelno-religijnych i tyczących się Częstochowy. 7) Ogłoszenia. 8) Ilustracje.

W roku 1905 „Dzwonek Częstochowski“ drukować będzie opowieść historyczną z czasów ostatniego prześladowania chrześcijan za panowania Rzymian p. t.

A także nader zajmującą pracę ozdobioną licznymi ilustrac., p. t.

1) Artykuły treści teologicznej. 2) Powieści religijne. 3) Modlitwy prozą i wierszem. 4) Żywoty Świętych Pańskich, Ojców Kościoła, wielkich Papieży. 5) Obrazy z historii Kościoła Rzymsko-Katolickiego. 6) Wiadomości różne z obszernem uwzględnieniem spraw

„ŻONA CEZARA“

„BÓG TAK CHCE!“

Będą to wzruszające opisy pochodów, walk, bitew i wiekopomnych wydarzeń z czasów wojen krzyżowych, gdy zatknęto krzyż na murach Jerozolimy i utworzono tamże królestwo chrześcijańskie, aby strzegło Grobu Pańskiego.

W celu przypomnienia Czytelnikom przeszłości naszej drukować będziemy piękną pracę, ozdobioną licznymi ilustracjami p. t.

„DAWNE NASZE KLASZTORY I ŚWIĄTYNIE“.

W dalszym ciągu drukować będziemy:

1) *Drogą Świętych Męczenników wśród pogan* (Opisy prześladowań, jakie znoszą głoszący słowo Boże w kramach pogańskich: Chinach, Indjach, Syamie, wśród murzynów, wśród ludożerców, pod biegunem i t.p.). 2) *Żywot ilustrowany Pana naszego Jezusa Chrystusa* (najobszerniejszy z istniejących). 3) *Życiorys księdza Augustyna Kordeckiego* (najobszerniejszy z dotychczas znanych); 4) *Historię ilustrowaną Kościoła Rzymsko-Katolickiego w obrazach i życiorysach*. 5) *Boga Rodzica naszą Matką przez ks. Wł. F. i t. d.*

Dla prenumeratorów całorocznych wspaniale **Premium na rok 1905:**

Piękne, kilkadziesiąt cennymi ilustracjami ozdobione

„**ALBUM PAMIĄTKOWE**“

budowy nowej wieży na Jasnej-Górze w Częstochowie.

Będzie to miła i droga dla wszystkich pamiątka mającego się odbyć w roku 1905 poświęcenia wspaniałej wieżycy, bogatej w tyle wspomnień, drogiej i bliskiej naszemu sercu.

Album to otrzymają wszyscy całorocznicy prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego“. Życzący sobie otrzymać premium pocztą dopłacają za opakowanie i przesyłkę **30 kop.**

Dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego“ redakcja oliaruje po niższej cenie książkę:

OBRAZY W SALI RYCERSKIEJ NA JASNEJ-GÓRZE

ozdobione kolorowemi, artystycznie wykonanymi ilustracjami.

Cena katalogowa „Obrazów w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze“ za egzemplarz ozdobnie oprawny rub. 1 kop. **50**, dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego“, żądających wprost z redakcyi, tylko **1 rb.** i kop. **20** na przesył. poczt.

Wizerunki Dostojników Duchownych w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze.

Cena niższa dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego“ — **50 kop.**, z przesyłką — **67 kop.**

Prenumerata „Dzwonka Częstochowskiego“ wynosi: w Częstochowie rocznie rub. **3**, półrocznie rub. **1** kop. **50**, kwartalnie **75 kop.** Z przesyłką pocztową rub. **4**, półrocznie rub. **2**, kwartalnie rub. **1**. W Austrii: rocznie koron **12**, półrocznie koron **6**. W Niemczech: rocznie marek **10**, półrocznie marek **5**. W Ameryce rocznie **2** dolary **50** centów. Cena ogłoszeń: Na całej stronie rub. **12**, na połowie str. rb. **8**, na czwartej części strony rub. **5** i za wiersz **75 kop.**

Prenumeratorzy miejscowi za odnośnienie pisma do domu dopłacają **10 kop.** kwartalnie.

Listy należy adresować:

Redakcja „Dzwonka Częstochowskiego“ pod Jasną-Górą w Częstochowie.

Filja w Warszawie: ul. Mokotowska Nr. 47.

Redaktor i Właściciel: ks. Józef Adamczyk.